№ 34. Warszawa, dnia 25 (13) Sierpnia 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

KŁAMSTWO I PRAWDA
(Do laski sejmu literackiego).

Równocześnie z uroczystością odsieczy wiedeńskiej ma się odbyć w Krakowie „pierwszy zjazd literatów i artystów polskich." Rozesłane uwiadomienie zawiera siedem punktów programu obrad. Będzie tam mowa o własności autorskiej, wystawach artystycznych, towarzystwie literackiem, operze polskiej, pismach ilustrowanych, szkole dramatycznej i organie informacyjnym artystyczno-literackim. Jakkolwiek nie przeczymy, że w granicach tego regulaminu uczestnicy mogą powiedzieć lub powiedzą wiele słów pożytecznych, sądzimy jednak, że go układała pomysłowość niezbyt szczęśliwa i że on najwięcej spłodzi „pobożnych życzeń," które narodziwszy się w Krakowie, natychmiast po wyjeździe swych ojców, w Krakowie zamrą. Pomijając tylokrotnie opowiadaną bajkę o czapli na wysokich nogach—o własności literackiej, którą nawet międzynarodowe kongresy tyle przekształciły, ile wojnę tonkińską, inne przedmioty obrad w znacznej części chyba zapominają, że spotkać się muszą z trzema postaciami warunków, że więc w jedne formy ułożyć się nie dadzą. Chociaż radzi byśmy widzieć lub odnaleść jak najwięcej związków w rozdzielonej rodzinie, pytamy, jaki mianownik wspólny istnieje dla towarzystwa literackiego lub opery polskiej w trzech odłamach społeczeństwa naszego? Zarówno owa opera musi liczyć się z inną dolą w Królestwie, w Galicyi i Poznańskiem, jak towarzystwo literackie nie może zjednoczyć odmiennie uorganizowanych dzielnic. Jeżeli zaś są to kwestye zbiorowego zastanowienia godne, dla czegóż o nich nie naradzą się literaci i artyści miejscowi? Ale nie snujmy pytań dalej i pozostawiwszy los wybranych tematów uczestnikom zjazdu, zaznaczmy kilka spraw, któremi zająć się powinien a które do programu nie weszły. Będzie to nawet o tyle zgodne z celami owej narady, że urządzające ją Koło artystyczno-literackie wzywa redakcye do nadsyłania uwag.

Jeżeli zjazd literatów „polskich" nie ma być czczą zabawą lub biesiadą u p. Hawełki, winien do rozpraw wciągnąć jak najwięcej takich przedmiotów, które uczestników trzech dzielnic wspólnie dotyczą. Bez zamiaru wyczerpania wszystkich kwestyj — dotkniemy tu kilku. A naprzód wzajemnych informacyj. Wiadomo, że jednym z najważniejszych przymiotów nowoczesnego dziennikarstwa stala się ścisłość. Plotka, efektowne doniesienia z palców wysysane, wszelkie kaczki, chociaż dotąd jeszcze znoszą złote jajka wydawcom, coraz bardziej ustępują w prasie miejsca wiadomościom sumiennym i dokładnym. Wszystkie wielkie gazety europejskie zawdzięczają swój rozgłos i wpływ przenikliwości w tajemnicach i prawdomówności w doniesieniach. Chwilowe powodzenie w grze kłamliwemi kartami przestało już być drogą prostą. Utrudniona walka o byt pobudza tę lub inną spekulującą redakcyę do krzyczących i oślepiających zmyśleń; od czasu też do czasu przez prasę przelatuje jakieś jaskrawe łgarstwo; ale raz zdemaskowane, zabija na długo kredyt swego źródła. Niezależnie od takich pokuszeń prasa poważna dąży do jednego ideału — do mówienia prawdy. Bądź nie pojmując wartości takiego stanowiska, bądź przenosząc doraźny efekt nad późniejsze, ale trwalsze korzyści, zakłamaliśmy się tak okropnie, zmyślenie podnieśliśmy do takiego zaszczytu, że dziś często nie mamy żadnej busoli w ocenianiu wypadków. Stosuje się to nadewszystko do zagranicznej prasy polskiej. Warszawska informowana jest jeszcze dość wiernie, ale galicyjska i poznańska drwi sobie nawet z prawdopodobieństw. Co tam pisze lekkomyślność z jednej i czemu ufa łatwowierność z drugiej strony — tego żadna skóra wołowa zmieścić by nie mogła. Ile gazet, tyle upustów poniewierającej prawdą nienawiści — nienawiści dla braci i wrogów, tyle pręgierzów i szubienic. Zasłonięci bezimiennością i dyskrecyą redakcyj, korespondenci krwawią jedynie swe pióra mordowaniem ofiar, które zwykle z tego okrucieństwa sobie żartują. Paweł pocztubił się w domu z Piotrem o—aktorkę, artykuł okolicznościowy, komedyę lub geografię i oto Paweł lub jego przyjaciel obcina Piotrowi w zagranicznej gazecie polskiej nos i uszy, wystawiając go jako zdrajcę kraju, a co najmniej jako niedołęgę lub szkodnika literatury. Nawet ludzie, którzy zyskali sobie zasłużoną powagę, nie są zabezpieczeni od tego, ażeby ich jakiś zakapturzony rycerz w błocie nie unurzał. Te zaś wieszania, piętnowania i nurzania tak dalece przemijają bez śladu, że nie pozostawiają nawet skazy na shańbionem przez nich nazwisku. Sto razy zasztyletowani przez korespondentów żyją sobie spokojnie i ani na myśl nie przychodzi nikomu wątpić o ich uczciwości. Kłamstwo nie zabija, nawet nie kaleczy.

Jest ono równie bezsilne po za ogniskiem domowem naszego społeczeństwa.

Zagraniczna prasa polska usiłuje dopełniać warszawską, zabierać głos w sprawach, leżących po za granicami jej swobody. I jakże to zadanie spełnia? W połowie zmyśla i daremne kłamstwo przenosi nad skuteczną prawdę. Korespondenci, chcąc się popisać jaskrawością swych doniesień lub nie chcąc skontrolować plotek, w mniemaniu, że przesada silniej działa, puszczają piórami bańki mydlane, którym nieraz rzeczywiście brak nawet przybliżonej podobizny. Pociągniętemu do odpowiedzial-

ności publicznej nie można wyświadczyć większej usługi, jak pomnażając nadmiernie jego winę, bo samem odparciem przesady zmyje swą plamę. To też znaczna część wykrywanych u nas przez zagraniczną prasę polską nadużyć, przedstawianych w olbrzymiem powiększeniu, nie zwraca należytej uwagi we właściwem miejscu. Ktoś ukradł 1,000 rs. — pisma galicyjskie lub poznańskie głoszą, że milion, a oskarżony śmieje się, bo wszystkim wiadomo, że miliona nie było. To rezultat szczegółowy—a ogólny? Ogólny ten, że prasa, karmiona przez korespondentów i karmiąca czytelników kłamstwami, traci wiarę, wpływ, przestaje być bronią, sprawiedliwym trybunałem, mścicielką krzywd. „Prawda — jak słusznie wyraził się Robespierre — posiada swoją potęgę, swój gniew, swój despotyzm; przemawia ona porywającym, strasznym głosem, który silnie uderza i w czyste serca i w występne sumienia i którego kłamstwo równie nie może naśladować, jak Salmoneus grzmotu nieba.“ I tego właśnie nie pojmujemy. Nam się zdaje, że gdy zmyśleniami obciążymy rachunek dłużnika, wzmocnimy swoje prawa wierzycielskie.

Nad tem właśnie zjazd literatów polskich zastanowić się winien. Jestto kwestya niemałego znaczenia, bo walka kłamstwem demoralizuje nas i pozbawia tych korzyści, których pomijać nie należy. Ile razy korespondenci do zagranicznych gazet polskich zgrzeszyli i czem opłaciliśmy ich niesumienne improwizacye, wykazywać nie będziemy; ale za to zjazdowi nic nie przeszkodzi swobodnie o nich pomówić. Materyału i dowodów mu nie zbraknie.

My przejdźmy z kolei do spraw innych.

ROCZNY RACHUNEK SĄDU.

Sporą wiązkę ciekawych danych przynosi nam *Sprawozdanie* warszawskiego Sądu Okręgowego za rok 1882. Nie jest to suche zestawienie cyfr; owszem, każda prawie pozycya opatrzoną jest objaśnieniem, a często porównaniem z odpowiedniemi danemi z lat poprzednich. Nie we wszystkiem, co prawda, zgodzić się możemy z poglądami władz sądowych, ale cyfry mają swoją wymowę. Na nich też przeważnie opierać będziemy swe wnioski.

Sprawozdanie daje nam dokładny obraz działalności władz sądowych w okręgu warszawskim. Pomijamy szczegóły, dotyczące zmian w składzie osobistym i przechodzimy wprost do rzeczy. W wydziałach kryminalnych od czasu wprowadzenia nowej procedury (13 lipca 1876) do 13 stycznia 1883 r. było spraw 18,087, z których ukończono 16,176; pozostało więc niezawyrokowanych 1911. *Sprawozdanie* uważa ostatnią cyfrę za względnie niewielką w porównaniu z pozostałościami lat poprzednich i wykazuje, że w ubiegłym roku osądzono najwięcej spraw, bo 3598. Z tego ma niby wynikać, że owa zaległość zmniejszać się będzie stopniowo.

Nie podzielamy bynajmniej tych poglądów.

Wysoka liczba osądzonych w 1882 roku spraw pochodzi głównie stąd, że wskutek zmian, wywołanych ukazem z 18 maja tegoż roku, rozszerzającym kompetencyę sądów pokoju i gminnych, 1927 spraw odesłano tym instytucyom. Właściwie więc w ubiegłym roku osądzono znacznie mniej. Zdanie nasze potwierdzają inne cyfry: w ubiegłym roku na każde posiedzenie wyznaczonych było 4.2 spraw a osądzonych 3.3, podczas gdy w innych latach odpowiednie liczby były 5.5 — 6 i 4.3 do 4.5.

Za przyczynę tego zmniejszenia *Sprawozdanie* podaje osądzenie w 1882 r. kilku spraw nader obszernych i zawikłanych. Przeciw temu objaśnieniu nic nie mamy, tem bardziej wydaje się ono prawdopodobnem, że liczba posiedzeń (400) pozostała bez zmiany w porównaniu z 81 rokiem a przewyższa cyfry lat poprzednich. Z 1911 niezawyrokowanych spraw niektóre ciągną się od 1878 r., 37 od 1879 a 331 od 1880. Na 100 podsądnych wypada 14 uwięzionych.

Apelacye skazanych i protesty prokuratora wynoszą 27% procesów rozstrzygniętych. Cyfra ta zwiększa się z każdym rokiem a dążeniem do przewlekania spraw objaśnioną być nie może, bo przecież te same pobudki działały i w latach poprzednich. Prędzej daleko wzrost ten pozostaje w związku z postępowem zwiększaniem się liczby wyroków skazujących, które od 64% w 1871 doszły 75½% w roku ubiegłym.

W wydziałach cywilnych od otwarcia Sądu Okręgowego było 18,051 spraw, z nich sądzono 13,497, pozostaje nierozstrzygniętych 4.578 i liczba ta corocznie zwiększa się; w 1881 r. bowiem wynosiła 4,062 a w 1880 — 3,033. Objawu tego pomyślnym nazwać niepodobna, jakkolwiek sprawozdanie utrzymuje, że ⅔ owych spraw należy do kategoryi takich, w których strony nie stanęły wcale, można więc je uważać za umorzone wskutek polubownego załatwienia sporu lub innych przyczyn. W ubiegłym roku wniesiono spraw 3,612, rozstrzygnięto 3072 tylko; zaległość więc wciąż rosnąć będzie. Procent podanych apelacyj wynosi 25 na sto; objaśnić to się daje w tym razie chęcią przewleczenia sprawy. Najczęściej apelują pozwani, przeszło dwa razy więcej aniżeli powodzi, stosunek ten trwa jednak zaledwie od lat kilku, w pierwszym natomiast i drugim roku działalności nowych sądów rzecz miała się przeciwnie.

Nie mamy pod ręką poprzednich *Sprawozdań*, nie możemy więc wykazać zależności tej zmiany od liczby wyroków na korzyść powodów lub pozwanych. W 1882 r. 92% spraw rozstrzygnięto na korzyść powodów.

W wydziałach hypotecznych za wzmiankowany peryod czasu rozpatrzono aktów 96,290 z ogólnej liczby podanych 96,350, stosunkowo więc zaległość jest tu najmniejszą. Ciągły wzrost liczby aktów hy-

---

²)

POWIEŚĆ O JANKU

SZEWCKIM SYNIE

przez

J. S. Wierzbickiego.

II.

Był dzień jesienny, słońce świeciło w całym swym blasku i rzucało wzrok pogodny na miasto. Kopuła błękitna niebios świeciła nieprzyćmiona żadną chmurką u zenitu, tylko nad poziomem kilka srebrnych obłoczków wędrowało w dal. Mgła otulająca zwykle jesienne poranki, opadła w parów ku rzece, co szeroko toczyła modre swe fale ku dalekiemu morzu, unosząc lekkie statki o białych żaglach, niby jakieś fantastyczne ptaki o srebrnych skrzydłach, w tajemniczą krainę. W powietrzu ciepłem brzmiał głos dzwonów kościoła i nad całem miastem unosił się gwar licznych głosów, coraz bardziej cichnących w oddali, niby szmer pszczół z wielkiego ula.

W Zacofanem był jarmark i odpust św. Stanisława, którego statua z odbitą głową, stała na cmentarzu kościelnym. Janek miasz, chłopię sześcioletnie, poszedł do miasta z matką, która popędziła przed sobą na sprzedaż chudźca... Jarmark wrzał na dobre, a Janek ciekawie spoglądał, otworzywszy usta i wytrzeszczywszy oczy niewinnie a ciekawie, co dało powód pewnemu małemu łobuzowi do zabawnego zeń wykrzywiania się.

Cały plac był zapełniony wozami z kapustą, ziemniakami, zbożem i drzewem. Koło każdego wozu stawali przekupnie z miną, wyraźnie mówiącą, iż mają wielką ochotę potargować się, bez zamiaru kupna. Każdy jarmark ma takich swoich rzemieślników, którzy uprawiają rzemiosło kupowania wszystkiego, czego nie chcą lub nie mogą nabyć. Dziewczęta z kwiatami u skroni lub w chusteczkach różnobarwnych spoglądały z ukosa na chłopców, którzy w rogatywkach i kapeluszach słomianych na głowie przebiegali tłumnie. Czasem chichotały, szepcząc coś sobie na ucho, potem rozbiegały się śród tłumu z miną przepiórek, uciekających w gęsty las zbożowy. Dokoła słychać było na różne tony i tempa: beczenie owiec, ryk bydląt, rżenie koni i górujący nad inne szwargot mowy żydowskiej. Żydzi różnego kalibru i gatunku uwijali się śród tłumu. Żydówki, siedząc koło straganów, wrzeszczały, proponując przechodniom jabłka, orzechy, tłuczeńce i spoglądając z miną, nieoznaczającą wcale tolerancyi dla sąsiadek chrześciańskich, sprzedających słoninę i sól. Czasem śród gawiedzi ukazał się jegomość, gruby, w palonych butach, niemal po same uszy, z sumiastymi wąsami, z wielką fajką w ręku i z kapciuchem u pasa, rozpychający tłum na wszystkie strony i uważający sobie za obowiązek zaczepić każdego żyda słowami: „Do nogi parchu!“ albo: „czy masz słoninę do sprzedania?!“ Na co ten odpowiadał: „A, goj!“ i odchodził, splunąwszy. Niekiedy, pod eleganckim kapelusikiem błysnęła biała twarzyczka panny z książką do nabożeństwa i elegancką torebką na sprawunki. Skoro wpadła między sklepy żydowskie, chwytano ją i rwano na wszystkie strony. Wszyscy mieli też same towary do sprzedania i to w jak najlepszym gatunku i najtańsze. Biedaczka, jakże ona da sobie radę? Chyba ją wyratuje ten młody, przystojny blondyn, który śpieszy z kościoła, aby, patrząc na nią, skończyć swoje nabożeństwo. Janek na wszystko spoglądała i oczy mu się śmiały z radości.

— A dyć to pani Andrzejowa — zawoła stara Przepiórczycha, włościanka z sąsiedztwa — a ile tam chceta za swego chudego?

— A cóż? trzydzieści złotych i groszy dziesięć!

— O la Boga! matko — krzyknie Przepiórczycha — a dyć on taki chudy, nieboraczek... jakby wstał z ciężkiej choroby!...

I dalej baby w targ. Kończy się na tem, że po długich korowodach, Przepiórczycha daje żądane pieniądze i pędzi przed sobą chudźca, który, zapewne przez wdzięczność, uprzyjemnia jej drogę harmonijnem kwiczeniem, tak, że przechodnie zatykaliby uszy z ochotą, gdyby ze wszystkich stron nie dawała się słyszeć podobna muzyka.

Andruchowa wraca zadowolona z targu. Tymczasem Janek wpatrzył się, jak w obraz cudowny, w jakieś zjawisko.

— Cos tak wytrzeszczył oczy, mój robaku — krzyczy doń matka, bo nie słyszy jej głosu.

potecznych, przedstawianych sądowi, świadczy w oddziale miejskim o wzroście Warszawy i Pragi, ale zarazem i obdłużaniu własności nieruchomej. Towarzystwo kredytowe miejskie udzieliło w tym czasie pożyczek na 3,316.000 rs. ubezpieczonych na 241 nieruchomościach. *Sprawozdanie* daje nam ciekawy przyczynek do kwestyi parcelacyi majątków ziemskich. W 1882 r. zaprowadzono 196 ksiąg hypotecznych dla nowo powstałych folwarków i osad, wogóle zaś w ciągu 6 lat utworzono 1124 nowych ksiąg. O obciążeniu długami prywatnymi posiadłości ziemskich wskazówek nie mamy. Towarzystwo kredytowe udzieliło 760,000 rs. pożyczek, opartych na 114 majątkach.

Nie wiemy, czy zapisać należy na rachunek pożytecznej działalności sądów olbrzymią liczbę różnego rodzaju korespondencyj, których w ogólnej regestraturze zapisano w ciągu roku aż 41,085 numerów wchodzących a 41,203 wychodzących, nie licząc korespondencyi dyżurnego członka, ani przekazów do kasy itp. Oprócz tego z kancelaryi prezesa wysłano 5,655 numerów a otrzymano 2,978.

Sprawozdanie mówi, że właściwie liczby te nie są dokładne, pod jednym bowiem numerem załączano nieraz kilka ekspedycyj!

Najbardziej może pomyślne rezultaty przedstawia działalność sędziów śledczych. Wprawdzie i tu znajdujemy pewne zaległości, ale bądź co bądź liczba ukończonych w roku ubiegłym śledztw przewyższa ilość wszczętych dochodzeń; zaległość więc zmniejsza się i to dość znacznie. Pożądanem byłoby usunięcie przeciążenia pracą sędziów, zwłaszcza prowincyonalnych, którzy miesięcznie mają około 30 śledztw, podczas gdy u wielu, mających rewiry w Warszawie, cyfra ta nie przenosi 10. Dałoby się to osiągnąć zmniejszeniem liczby rewirów miejskich i utworzeniem natomiast nowych — prowincyonalnych. Nie posiadamy danych, ile osób pociągnięto do śledztwa, wiemy tylko, że 1,146 zostało uwięzionych, od 915 odebrano paszporty, pod dozór policyi oddano 1,179, a wypuszczono za kaucyą lub poręczeniem 390. Oprócz 1,146 aresztowanych, 158 pozostawało w więzieniu od 1881 r.

Przechodzimy teraz do działalności adwokatury przysięgłej. Jak wiadomo, w Warszawie nie została wprowadzoną Rada obrońców i funkcye jej pełni Sąd okręgowy. Dla ułatwienia sobie stosunków z obrońcami i dla bardziej skutecznej kontroli ich działalności, postanowił on w październiku 1876 r. utworzyć komisyę, wybraną z pośród nich a złożoną z 5 członków. Obowiązkiem jej było wykonywanie postanowień sądu dotyczących adwokatury i komunikowanie mu wiadomości i spostrzeżeń, jakie uzna za pożyteczne. Komisya istniała przeszło 5 lat, ale działalność jej żadnych prawie rezultatów nie przyniosła. Ostatecznie więc w 1882 roku z mocy prawa przysługującego sądowi została zwiniętą.

Ciekawe są motywy tego postanowienia. Prezes sądu okręgowego w sprawozdaniu swem o działalności Komisyi znajduje, że ograniczała się ona tylko do przedstawiania sądowi kandydatów na adwokatów przysięgłych. W pośredniczeniu zaś między sądem a obrońcami i w wykonywaniu prawa kontroli była niedostateczną, albo wręcz przeciwną swemu celowi. Tak np. w marcu 1881 zażądano od komisyi zwrotu przesłanych jej jeszcze 1881 do rozpatrzenia i poczynienia stosownych uwag komunikatów władz sądowych i skarg osób prywatnych. Żądanie to wykonanem było częściowo, zwrócono bowiem tylko 16, ale jak się okazało, w 15 wypadkach komisya nic nie zrobiła i nie dała swoich wniosków. Dotychczas nie otrzymano jeszcze odpowiedzi na 10 skarg i komunikatów, z których 8 przesłano w 78 a 4 w 79 roku. W innych zaś wypadkach bardzo niewiele, albo nic zgoła nie uczyniła, zwłaszcza kiedy chodziło o pracę bardziej skomplikowaną, jak np. podział sumy wyznaczonej przez ministerstwo za obronę z urzędu, lub rewizyę ksiąg i pobieranie 10% od dochodu. Z tych więc powodów Sąd uznał za właściwe zwinąć tę instytucyę, uważając, że w obecnym stanie rzeczy korzyści żadnej nie przynosi. Przyczyny tego smutnego faktu *Sprawozdanie* widzi nie w tym lub owym osobistym składzie komisyi, lecz w zasadach organizacyi, pozbawionej samodzielnego głosu i moralnej odpowiedzialności za honor i godność korporacyi.

Bądź co bądź próba adwokackiego samorządu zrobiła zupełne fiasco.

Spraw dyscyplinarnych przeciw adwokatom w ciągu tego peryodu było 315, i liczba liczba ich ciągle rośnie od 25 w 1877 roku do 75 w 82. Większą część skarg, bo ⅔ przeszło, podali klienci. Najczęściej skarżą się mieszczanie, włościanie i żydzi, którzy w *Sprawozdaniu* figurują jako stan, ale skargi te, według opinii sądu, nieraz są pozbawione sensu. Czwartą część skarżących stanowią kobiety, lecz pretensye ich nie mają w bardzo wielu wypadkach żadnej prawnej podstawy. Żydzi zaś proszą zwykle o zwrot honoraryum, zaliczonego adwokatowi. W 83 wypadkach zapadły wyroki skazujące, w skutek czego 5 adwokatów zostało wykreślonych z listy. Wogóle oskarżono obrońców 112; — jeżeli wyłączymy tych, którzy mieli po jednej lub dwie sprawy, to pozostanie 37, ale za to w ich gronie znajdziemy takich, którzy mieli po 10, 20 a nawet 30 spraw i karani byli po kilka razy. Właściwie jednak tylko 13 ukarano za mniej lub więcej ważne przewinienia, innych zaś za opieszałość itp.

Wyciągi z wielu spraw, przytoczone w dodatku, nie zbyt pochlebnie świadczą o moralnym poziomie naszej adwokatury. Nie należy więc zamykać oczu na złe, które wciąż rośnie. Kilkunastu niesumiennych lub oszustów z ogólnej liczby 188 przysięgłych obrońców — to już nie wyjątki — to bardzo znaczny procent, jeżeli zważymy, że wszyscy ci ludzie otrzymali wyższe wykształcenie.

O LICEACH ŻEŃSKICH WE FRANCYI.

Wracam z Lyonu i piszę pod wrażeniem, którem chcę się podzielić z czytelnikami *Prawdy*. Z góry oznajmiam, że nie było to żadne z wrażeń, należących do rodzaju

---

Pod ścianą jednego domu rozsiadł się wędrowny kupiec, i rozłożył różne a bardzo ładne rzeczy. Były tam obrazki święte, medaliki, zabawki, kolczyki, wstążki, w końcu nawet elementarze. Dokoła się zebrała drużyna wiejskich chłopiąt i wszyscy gapią się z ciekawością.

— No, co tam Janku — pyta znowu matka.

Janek milczy, nie śmie powiedzieć, rumieni się po uszy.

— Może chcesz tego konika, tej świstawki.

— Ja chcę tego... szepnął malec, wskazując na elementarz, ozdobiony różnemi próbkami sztuki drzeworytniczej krajowej, w których drzewa nie dają się odróżnić od ludzi, a ludzie od ryb. Elementarz ten zwrócił uwagę Janka.

— A cóż będziesz z nim robił, głuptasiu—pytała go z uśmiechem.

— Nauczę się czytać i będę... będę...

— Czemże będziesz?

— Będę—organistą...

— Co? dławidudą—zaśmiała się.

— A niechże cię, mateczka, Boża ustrzeże od tego nieszczęścia. Kupię ci *alimentarz*, abyś się nauczył czytać, ale organistą, co nie będziesz, to nie będziesz.

Elementarz kosztował dwadzieścia groszy, Andruchowa zapłaciła i poszła a za nią biegł Janek, niosąc go i poglądając nań czule. Biedny, myślał, że najwyższym szczytem ludzkich marzeń może być stanowisko organisty — a wiecie dlaczego? Oto zawsze widział starego Wojciecha w kościele na chórze, co się wznosi nad głowami wszystkich obecnych i góruje nawet nad amboną, skąd ksiądz przemawia; więc wywnioskował, iż organista jest osobą najwyżej postawioną w hierarchii społecznej. Widział go, jak śpiewał z książki przez nos rozdzierające uszy i serce psalmy, zachciało mu się więc książki.

Z kościoła wysypał się znaczny tłum. Na wschodach starożytnej budowy żebracy wyciągali ręce, modląc się „o grosiczek!“ na chwałę bożą. Wyszedł z zakrystyi ksiądz Jacek, rumiany i świecący uśmiechem zadowolenia na tłustem obliczu.

Za nim biegły kobiety, śpieszące pobożnie ucałować — rączki proboszcza. Przystąpiła i Andruchowa.

— A cóż Małgorzato, nie byłaś na sumie?

— Proszę łaski ks. dobrodzieja, byłam na mszy rannej.

— Aha, a to twój najmłodszy — Janek?

— Nuże, synku, pocałuj księdza proboszcza w rączkę—szepnęła matka.

Ksiądz łaskawie poklepał malca po twarzy i rzekł—mizerota!

Andruchowa wróciła do chaty, a Janek pobiegł do ogrodu, siadł pod lipą i przyglądał się elementarzowi z zachwytem, ale nie wiedział, w jaki sposób wziąść się do niego. Przewracał go więc na wszystkie strony; w końcu, trzymając go do góry spodem, zaczął sobie przypominać różne pieśni dziadów kościelnych i śpiewać niby z książki. Dzień miał się ku schyłkowi. Niebo przybrało barwę ciemno-szafirową na wschodzie, a zachód zdał się ostatnimi odblaskami słońca, co rzuciło na pożegnanie światu kilka promyków, niby kilka wspomnień świetnego żywota i zgasło otoczone złotymi obłoczkami, które w końcu zbielały i pociemniały. Ogród szewcki wisiał na łagodnej pochyłości nad rzeką, która odbijała w ciemnych falach wszystkie obrazy nieba, przybierając jego ciemno-szafirową barwę i mrugając do gwiazdek niebieskich światłami z topieli. Z przeciwnego brzegu rzeki, za złocistą ławicą piasku, widniały łąki, ocienione zrzadka rosnącymi dębami, zlewającymi się w oddaleniu w jeden ciemny las... A kiedy wietrzyk wionął, to przynosił woń siana, które kosarze układali w wielkie stogi. Słychać było stamtąd poszczekiwanie psów i dzwonki bydełka, pasącego się na skoszonej łące, a z poza ciemnej zieleni błyszczały fantastyczne ognie pasterzy. W końcu wszystko się zlało w jedną ciemność, która niby czarna opona okryła cały krajobraz. Janek tymczasem zasnął. Andruchowa wzięła go na ręce i zaniosła wraz z elementarzem, który on przez sen mocno trzymał w ręku, do łóżka; tam uklękła i długo się modliła o jego szczęście na ziemi.

Małgorzata umiała sylabizować modlitwy z książki do nabożeństwa i przypuszczała nawet, że druk został wymyślony przez papieża na chwałę bożą. O synu sąsiada, co czytywał z zapałem romanse Pawła Koka, mawiała:

— Co to za pobożny chłopczyna, ino szepcze z książki pacierze!

Postanowiła wyedukować swego pieszczoszka, nic o tem nie mówiąc Andruchowi. Nazywała ona Janka wyłącznie swojem własnem dzieckiem; jakże mąż się

estetycznego i służących pospolicie za temat do ćwiczeń sprawozdawczych: nie był to ani widok cudny, ani koncert, ani widowisko nadzwyczajne — nawet nie przedstawienie Sary Bernard, która właśnie w czasie parudniowego pobytu mego w Lyonie, popisywała się przed publicznością tego drugiego we Francyi miasta i ściągała do teatru tłumy. Nie pociągnąłem za tłumami. Zwabiły mię przedstawienia inne, bezpłatne wprawdzie, nie mniej przeto ogromnie interesujące, a to z powodu wielkiej, zdaniem mojem, doniosłości faktu który ilustrowały i tłomaczyły.

Fakt odnosi się do wychowania publicznego kobiet.

Wiecie zapewne, że w Lyonie, w grudniu roku przeszłego, rząd otworzył liceum żeńskie. Otwarcie odbyło się po cichu. Plakaty zawiadomiły publiczność, że przybył w mieście zakład świecki, mający na celu nauczanie młodzieży niewieściej w zakresie takim samym, w jakim po liceach uczy się młodzież męska; uwiadamiały oraz o programie lekcyj i o składzie nauczycielskim, na czele którego figurowało nazwisko dyrektorki pani J. Desparmet-Ruello. Minister, ani żaden z ministerstwa nie przybył; nie zwoływano publiczności; nie było wystąpienia najmniejszego, jak współcześnie w Rouen; liceum się otworzyło i funkcyonować poczęło w cichości. „W cichości“ — źle się wyraził, albowiem otwarciu towarzyszyła wielka wrzawa, sprawiona przez tych, dla których solą w oku jest nauczanie kobiet poważne. Dzienniki opozycyjne prześcigały się w wynajdywaniu zarzutów przeciwko młodziutkiemu temu zakładowi, zarzutów tak ogólnych, jak szczególnych, rzeczywistych i wymyślonych, co im z tem większą przychodziło łatwością, że Lyon jest we Francyi miastem, jednem z najbardziej klerykalizmem przejętych. Wypływa to z jego historycznego stanowiska. Lyon jest najstarszem we Francyi biskupstwem — (od drugiego wieku ery chrześciańskiej) zaznaczonem śmiercią męczeńską, za panowania Marka Aureliusza i Septima Sewera, dwóch pierwszych biskupów św. Pothina i św. Ireneusza; następnie został stolicą prymasa Gallii. Pod względem przeto kościelnym jest to gród najpoważniejszy; przebywa w nim arcybiskup-prymas, którego otacza kapituła w komplecie całym, pięciu biskupów sufraganów, kilku wikaryuszów, bez liku kanoników i księży rangi niższej co niemiara. Z księżmi na ulicach rozminąć się nie sposób — taka tego mnogość. Nie dosyć jednak na tem. Lyon posiada specyalność świętości, z powodu Matki bożej z Fourvière cudami słynącej, do której odbywają się pielgrzymki pobożne, która łaski różne świadczy, strapionych pociesza, chorych uzdrawia, ubogich zbogaca i opieką swoją szczególną otacza miasto, panując nad niem w postaci posągu olbrzymiego, postawionego na najwyższem wzgórzu, na wysokiem podmurowaniu. Na wzgórze to pielgrzymi niektórzy z dołu na kolanach wchodzą. Obecnie buduje się na nim kościół wspaniały, obok pomniejszego, którego ściany wewnątrz i kolumny wszystkie okryte są z dołu do góry raz koło razu ex-votami. tak że ani kolumn nie widać wcale, tylko same złote, srebrne, gładkie, rzeźbione, napisami lub kamieniami drogimi okryte tabliczki, pierścienie, krzyżyki, medale, serca, ręce, nogi i inne z metala wyroby przez wiernych z intencyą zawieszone. Legiony księży świeckich i zakonnych, zakonnice, liczna obsługa kościelna, przekupniów mnóstwo, handlujących obrazkami, statuetkami, różańcami, książeczkami, jakoteż portretami hrabiego Chambord, Napoleona III, cesarzowej Eugienii i zginionego śród zulusów cesarzewicza, stanowią dowód wziętości, jaką posiada ten umysłów kierunek, który posąg zaznacza. Na wzgórzu Fourvière atmosfera jest atmosferą wieków średnich. Ale nie potrzeba jej aż tam szukać. Oddychamy nią w mieście samem, w każdym niemal domu fabrykanta i mieszczanina zamożnego, nie mówiąc o członkach rodów arystokratycznych w Lyonie zamieszkujących. Każdy z fabrykantów, z mieszczan zamożnych i z przedstawicieli arystokracyi posiada kółko, które sposób jego myślenia podziela, a do którego wchodzą księża, zakonnicy, zakonnice, obsługa kościelna, handlarze świętościami i ta część ludności, która bądź z interesu, bądź w dobrej wierze do klerykalizmu lgnie. Nie czyni ona większości. Większość jest przy licznych w Lyonie robotnikach, hołdujących zasadom skrajnym i odnoszących zwycięstwa przy wyborach do rad municypalnej i departamentalnej, do parlamentu, etc.; zwycięstwa te atoli nie obalają przekonań mniejszości poważnej — poważnej liczbą, spoistością i bogactwem, która faktycznie w mieście przoduje, wierząc mocno w to, że stan obecny jest przechodnim, mającym zmienić się za przyczyną Matki bożej z Fourvière.

Na takim to gruncie założoną została szkoła, zaopatrzona w zadanie udzielania kobietom edukacyi racyonalnej. Łatwo wyobrazić sobie, jakie ją spotkało przyjęcie. Zakipiało w sferze *towarzystwa*. Na młodziutki zakład zwrócono pociski wszelakiego rodzaju: rozpatrywano go z punktu pedagogicznego, filozoficznego i religijnego; podpatrywano słabe jego strony; ośmieszano; przedstawiano go, jako rodzaj jaskini, w której się lęgnie zaraza moralna; nie wahano się zębem oszczerstwa targać osobistości, wchodzących w skład nauczycieli. Za cel pocisku służyła szczególnie dyrektorka — kobieta, której w zwyczajnem ludzkiem rozumieniu nic do zarzucenia, ani pod fizycznym, ani pod moralnym względem, nie ma. Panią I. Desparmet-Ruello natura obdarzyła powierzchownością ujmującą, z którą łączy ona takt przyzwoity, podtrzymywany przez naukę gruntowną. Przeszła kurs nauk fizycznych, jest *Licencié ès sciences, officier de l' Academie*; była przez lat ośm dyrektorką wyższej szkoły żeńskiej w Bordeaux i organizowała liceum w Montpellier; ministerstwo oświaty powierzyło jej liceum lyońskie dla tego właśnie, że próby przeszła, z trudnościami się łamała i czoło stawić potrafi przeciwnikom takim nawet na ostro kutym, jak w Lyonie. Do jakichże się oni nie uciekali sposobów, szukając skandaliku, słabości, słabostki, któraby podniesiona i tonem odpowiednim rozgłoszona, posłużyć mogła do skompromitowania kobiety tej a przez nią zakładu w oczach źle z góry usposobionej publiczności! Nie znalezli nic. Z mężem żyje przykładnie; w szkole porządek utrzymuje wzorowy; nauczycielki i nauczyciele ją szanują,

---

zdziwił, ujrzawszy ją zasiadającą poważnie koło stołu z miną pedagoga a obok Janka z elementarzem w ręku.

— Cóż to zawołał — chcesz mi go wystrychnąć na mądralę, co, nieprzymierzając jak Protazy, nie umie odróżnić gąski od indyka?

— Do roboty próżniaku. bo kiedy cię pomacam, to... — wrzasła Andruchowa i twarz jej przybrała kolor ćwikły.

Andrzej pokiwał głową i zamilkł; później wziąwszy do rąk nową skórę, siadł cichutko do roboty, szepnąwszy pod nosem:

— Hm, hm, tabaczka jejmości nietylko w nosie, ale i w głowie kręci!

— Co tam mruczysz? — ofuknie Małgorzata.

— Ano mówię, że skóra tęga, musi nieboszczyk twardego karku, świeć Panie nad jego duszą!

— Jaki nieboszczyk?

— A no ten, ten... z którego ta skóra!

— Co pleciesz pijaku, jeszcześ się niewytrzeźwił!

Andruch spojrzał dokoła na swoich malców, chcąc zauważyć, jakie ta mowa wywarła na nich wrażenie i ujrzawszy na twarzy jednego coś w rodzaju uśmiechu, wrzasnął:

— Śmiejesz się, głąbie!

— Głąbie! — odpowiedział chłopiec, przestraszony i ręka mu zadrżała.

— Ej, ej, kapcany, chcecie mieć swój rozum, od kiedy przestałem was szlifować po karkach. Wczora mi Maciej prawi: — biedaku, głowa twoja tera łysa, dycht moje kolano. Gadzino! padam — troska, by majster, wyskubała mi kieby czeladnikowi wszystkie włosy ze łba, troska o was, o Małgosię, co na mnie teraz taka zagniewana! O tak! A Maciej aż zapłakał nademną nieborakiem i płakałby do dnia sądnego, gdybym go nie palnął w gębę, za to, co mię nazwał dziurawym babskim pantoflem. Hej! do roboty! Co rozdziawiliście gęby?

Małgorzała puszczała koło ucha wszystkie te słowa i uczyła z wielką cierpliwością Janka, który za nią z lubością powtarzał: *A. B. C.* Po pierwszej lekcyi już umiał wszystkie litery do *G.* Wyszedłszy do ogrodu, powtarzał je na pamięć z zamkniętemi oczyma. Wojtek, który wybiegł właśnie co z domu, ujrzawszy go na grzędzie cebuli, zbliżył się pocichutku, wydarł mu elementarz i zaczął uciekać. Rozpoczęła się gonitwa i wrzaski; w końcu Wojtek złośliwie przerzucił elementarz przez ogrodzenie z chmielu na pochyłość, staczającą się ku rzece. Janek, przełażąc, zaplątał się śród gałązek chmielu i wyglądał tam, w koszulce, przepasany krajką, jak gołąbek w gniazdku zieloności. Wreszcie stoczył się na piasek złoty i dostał elementarz. Schowawszy go w zanadrze, zwrócił uwagę, iż na pochyłości błyszczą, wcale ładne muszelki i zaczął wybierać różnokolorowe. Spuścił się ku rzece, siadł na białym kamieniu i spoglądał w fale, gdzie jaśniało słońce w całym swym blasku. Zdawało mu się, że to słońce, błyszczące w fali, jest owym srebrnowłosym i siwobrodym staruszkiem, co mieszka na dnie rzeki i wabi go w błękitną toń. Świat bajek, które mu opowiadała matka, zlewał się w jego wyobraźni ze światem rzeczywistości tak, iż niekiedy nie mógł sobie zdać sprawy w swym dziecięcym umyśle z tego, co było zmyśleniem a co prawdą. Siedział tak, koniuszek nóżki zagłębiwszy w wodę, i mącił jej srebrne nurty: wtedy widział, jak słońce marszczyło się i ruszało, niby śmiejący się staruszek z figielków wnuczka. Czasem ciskał kamyczek w wodę i rozbijał ją na srebrzyste koła. Bawiły go rybki, co podpływały na samą powierzchnię wody, zwracając złote główki ku niebu, lub podrzucały się do góry, figlując. Ale znowu poczuł nagłą obawę: przypominał sobie, że w wodzie mieszkają złośliwe raki, wnet cofnął nóżki z wody i pobiegł do domu, goniąc motyle, unoszące się w cieplem jesiennem powietrzu.

Małgorzata uczenie dzieci uważała za karę niebios, a jednak kształciła swego Janka co dnia cierpliwie, zażywając ciągle tabakę, bo potrzebowała natchnienia.

Raz, kiedy wyjątkowo sam Andrzej, w swej własnej osobie, siedział nad kopytem i pracował, wszedł Wojciech organista.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odrzekli wszyscy chórem.

— A cóż to wy Małgorzato ślęczycie nad książką!?

— Ano, uczę tego błazenka — odrzekła stara, szczypiąc Janka pod brodę.

— Nauka nas podnosi do nieba! — zauważył Wojciech, lubiący się wyrażać górnie, usiadł na zydelku i wskazał na swój but rozdarty.

uczennice kochają; wykłady idą dobrze; w stosunkach wewnętrznych pomiędzy ciałem nauczającem i dozorującem a gronem uczącem się panuje ton przyzwoity i nastrój szlachetny, będący rękojmią korzyści nietylko intelektualnych, ale oraz i moralnych; w szkole nie dzieje się nic w sekrecie — rodzice kontrolują i o wszystkiem wiedzą: przyczepić się o co niema absolutnie. Od czegóż jednak duch wynalazczy, zwłaszcza we względzie ośmieszania. Pisma „uczciwe“ wynalazły rzeczy kilka, na które pociski zwracały. Pani Desparmet jest zamężną. Nie mogąc żony na pośmiewisko wystawić, ośmieszać jęły się rolę męża, którą przedstawiały jako upokarzającą dla mężczyzny, żyjącego na łasce kobiety. Temat to bogaty — kanwa, na której bez końca haftować można obrazki domowego pożycia i szczepić w sercu męża żal, niezgodą małżeńską brzemienny. Rzecz ta atoli przedstawia się w świetle nie bardzo dla pana D. niekorzystnem. Pan D. jest inżenierem; miał posadę — pracował; gdy jednak rząd żonę jego z Montpellier do Lyonu przeniósł, kwestya stanęła tak: albo pani D. zrzeknie się dyrektorstwa dla męża, albo pan D. da dymisyę dla żony. Wybranem zostało to ostatnie przez wzgląd na korzyść w zakresie służby publicznej. Inżeniera zastąpić łatwo; do edukacyi zaś kobiecej, poczynającej się śród trudności olbrzymich, nie łatwem jest wynajdowanie osobistości odpowiednich. Pan D. przeto poszedł za żoną i obecnie poszukuje posady w Lyonie. Pytamy: czy jest w tem co nagannego? Stanowisko jego *prince consort* jest tymczasowem; posadę prędzej lub później znajdzie i będzie ze swojej strony dokładał owoce pracy własnej do spółki życiowej; zapewne więc nikomu, nie szukającemu przyczepek umyślnych, na myśl by nie przyszło wyśmiewać się ze stadła, żyjącego przykładnie i poczciwie. Co?... Zapewne i dzienniki „uczciwe“ nie szydziłyby ze stadła tego, gdyby nie chodziło o zakład, który im stanął solą w oku.

Przytoczę jeszcze zarzut jeden.

Rada municypalna nie miała na pomieszczenie lyceum domu odpowiedniego, musiała więc nająć i najęła taki, w którym dół cały zajmowała w jednej połowie piekarnia, w drugiej drukarnia. Nie można było zostawiać ich. Chłopcy od piekarza i zecerzy nie byli towarzystwem, któreby harmonizowało z uczącemi się panienkami.

Rada municypalna wywłaszczyła dzierżawców dołu za wynagrodzeniem odpowiedniem. Zdaje się, że w tem nie zaszła zdrożność najmniejsza. Tak — tylko nie w oczach pism „uczciwych.“ Oburzyło je, najprzód, wywłaszczenie z dzierżawy piekarza i drukarza. „Zgroza! gwałt! tyrania republikańska!...“ Dzierżawcy dostali indemnizacyi 25 tysięcy franków i zgoła za pokrzywdzonych nie uważali się. Zarzut przeto wystąpił w postaci innej: w postaci oskarżania rady municypalnej o marnotrawienie grosza publicznego. „Oto, na co republikanie wydają pieniądze kontrybuentów!“ Piekarz i drukarz, przedstawiani poprzednio jako ofiary, wystąpili następnie w charakterze faworytów władzy, która jakoby dlatego liceum wymyśliła, ażeby im kieszenie pieniędzmi publicznemi napchać. Pisemka przytem humorystyczne— „uczciwe“—rozpisywały się szeroko o łydkach panieńskich; jakby to się przypatrywali im zecerzy i piekarczuki!

Z tego, widzimy, że liceum żeńskie przyjętem zostało przez towarzystwo przeznaczające a „uczciwe“ w Lyonie, tak, jak, nieprzymierzając, pies w kręgielni. Zarzuty przenajrozmaitsze sypały się na nie gradem, wtorując w rodzaju przygrywek, powtarzającym się od czasu odezwom do matek chrześcianek, przestrzegającym je przed zgrozą straszliwą edukacyi bez Boga. „Edukacya bez Boga!“ Wyrazy te, powtarzane na piśmie i ustnie, rzucane z wysokości kazalnic i szeptane w konfesyonałach, są koniem bojowym, na którym regularnie wyjeżdża klerykalizm, gdy atakuje postępowość. Niema w nich ani odrobiny sensu, ze stanowiska zwłaszcza klerykalnego, na którem w podstawie znajdujemy te katechizmowe, stanowiące punkt wychodni przyznania, że „Bóg jest wszędzie obecny i o wszystkiem wiedzący, że bez woli jego nie dzieje się nic, nawet włos z głowy człowieka nie spada:“ jakże, w razie takim, istnieć może edukacya bez Boga?... jakżeby wbrew woli jego powstać mogło liceum w Lyonie?... Jest to z punktu klerykalnego absurdum; mimo to absurd ów — dla brzmienia suadź, porażającego dewocyę w Bogu rozmodlonych kobiecin — służy do straszenia umysłów łatwowiernych i do napadania na rząd, który, pozostawiając każdemu swobodę wierzenia jak się komu podoba, Bogu wojny nie wydaje wcale.

Punkt ostatni wyjaśnienia wymaga. Postaram się dać je, o ile można najzwięzlej, stawiając jeno fakt, którego zrozumienie należyte jest kluczem, rozwiązującym zagadkę, tyczącą się znaczenia Francyi w chwili obecnej. Francya zaprowadza i organizuje państwo świeckie — świeckie w najściślejszem wyrazu tego pojęciu — i w tym celu od państwowego bytowania oddzielać musi staranie to wszystko, co świeckości przeszkadza. Oddziela od niego wyznania, religie, kościoły. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby je prześladować miała. Nie! Powtarzamy: oddziela je, to znaczy, wyłącza z tych wszystkich funkcyj życia publicznego, które byt państwowy warunkują: z administracyi, z sądownictwa, z finansów, ze spraw wewnętrznych, z polityki zewnętrznej, a zatem i z oświaty, zasilającej gałąź każdą z osobna i wszystkie razem. Kościołom przez to dzieje się krzywda o tyle, o ile mają one pretensyę mieszania się do spraw świeckich. Po za sprawami temi stoi religia czysta — rzecz sumienia indywidualnego, kwestya wiary, niemająca nic wspólnego z techniką porządkową mechanizmu państwowego, opierającego się nie na wierze, ale na wiedzy, na wiedzy czystej, jasnej i całkowicie obywatelskiej, wspólnej wszystkim bez wyjątku poddanym państwa. Ze wspólności tej ono wyłączać nie może kobiety, najpierwszej młodych pokoleń wychowawczyni. Wychowanie jej ma taką samą dla państwa wagę i takie same znaczenie, jak wychowanie mężczyzny, a jedno i drugie stoi całkowicie na zewnątrz wiary, niekwalifikującej się zgoła do rozwiązywania zadań naukowych. O sprzyjanie lub niesprzyjanie nie chodzi tu ani trochę. Można być zelantem religijnym bardzo gorącym, a przytem uznawać, że dogmata religijne najmniejszej nie mają do pełnienia funkcyi w nauczaniu gramatyki, aryt-

---

— Oto przyszedłem was prosić Andrzeju, abyście mi załatali obuwie.

— Pokażcie no, albo nie, zrzućcie lepiej!

— Hmm! — szepnął Wojciech — wobec dam! — niemogę!

— Nieplótłbyś głupstw, panie Wojciechu — zaśmiała się Andruchowa.

— Jeśli pozwolicie, no to zrzucę.

Andrzej spoglądał na podarty but zoburzeniem, on nigdy jeszcze nie widział takiej profanacyi swej sztuki. But był to osobliwy i niemający żadnych stosunków ze szczotką i szuwaksem. Z łatek, okrywających gojak warstwy geologiczne, można było robić różne wnioski co do jego starożytności. Nadawały mu one pewną objętość przechodzącą rozmiary normalne i powagę właściwą dawnym zabytkom. Dzięki licznym wentylatorom, w które był zaopatrzony, noga Wojciecha odczuwała wszelkie zmiany pogody; dzięki im również but posiadał nawet swój własny język: oto przy naciskaniu o ziemię, zwłaszcza w czasie słoty, wydawał jakiś boleśny, łzawy świst, niby skargę w imieniu swego właściciela. Andrzej położył go przed sobą i zadumał się nad znikomością szewckiej sztuki wobec tego antyku; w końcu uderzył się w czoło, jakby mu przyszła do głowy wielka myśl i zaczął łatać. Tymczasem Wojciech zwrócił się do Andruchowej, uczącej Janka, spojrzał na chłopca ze współczuciem i pokiwał głową: przecież i on kiedyś był takim Jankiem i on szukał wielkich prawd w elementarzu i w końcu został... aż organistą. Zapewne uważał to stanowisko za świetne; zapewne biedny Janek nie dostąpi podobnego zaszczytu... I żal mu było dziecka...

— No cóż, chłopcze, uczysz się, to dobrze, to bardzo dobrze, będziesz człowiekiem. Chodź no tu do mnie, pokaż, co umiesz, a odpowiadaj śmiało, jak mężczyzna. No, ile jest Bogów?

Andrzejowa chciała przerwać ten egzamin, ale jej się to nieudało.

— Ino trzy i pół — odrzekł chłopiec z taką pewnością, iż Andruch, który kiedyś uczył się katechizmu, spojrzał na syna ze zdumieniem i pomyślał, że od jego dziecinnych czasów nastąpiły zapewne jakieś reformy w katechizmie.

Tymczasem Janek prawd religijnych nie znał i z „Ojcze nasz“ pamiętał tylko: „chleba naszego powszedniego“ a ze „Zdrowaś Marya,“ tylko: „amen!“ Często słyszał matkę liczącą, a że była oszczędną, więc ten wyraz: „pół“ najczęściej pojawiał się na jej ustach.

Wojciech pogłaskał chłopaka i poprawił omyłkę.

— A powiedz mi, mój kochany — pytał dalej, prostując się — znasz ty historyę naturalną?!

Sam Andrzej wytrzeszczył oczy, usłyszawszy to zapytanie. On o historyi naturalnej nigdy nie słyszał.

— Niebałamucilibyście mi dziecka! —zawołał.

— Poczekajcie Andrzeju, zaraz on mnie pojmie: historya naturalna, mój mały, jest to nauka o zwierzętach! — rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział Janek.

— Dobrze — pochwalił Wojciech. A powiedz mi, co to jest za ptaszek biały, który ma czerwone nóżki takiej formy, jak łopatki, dziób czerwony i mówi: ge, ge, ge!

Chłopcy wraz z majstrem zachichotali, a Janek bez wahania się odpowiedział: „kot!“ — co wywołało nowy wybuch śmiechu obecnych i gniewne wstrząśnięcie się Andruchowej.

— Gąska, moje dziecko, gąska! Dziś nie zgadłeś, ale kiedyś, kiedyś! i spojrzał w dal — wszyscy ludzie niepospolici od tego zaczynają. A powiedz mi, mój malcze, coś z historyi, naprzykład: „kogo uważasz za największego człowieka na ziemi?(Wojciech miał na myśli Napoleona I).

Tu Jankowi zabłysły oczy i szepnął ze wzruszeniem: „organistę!“

— Brawo! — odrzekł zarumieniony z radości dławiduda, ten chłopak ma przyszłość przed sobą, uczcie go matko, uczcie, z niego będzie człowiek, a może nawet i organista.

— Fizyk! —syknął przez zęby Andruch i podał but Wojciechowi, który z flegmą naciągnął go a obiecawszy odesłać należność później, wyszedł z uroczystą miną.

— Policzym się na Józafata dolinie — rzekł Andruch — poczciwcy, oboje z Heleną ino wydrwiwają pieniądze od ludzi!

Helena, była to żona Wojciecha, pobożna osoba, która na pogrzebach, wyrażając się jej technicznym językiem, „czyniła lamenty!“ i za to dostawała pieniądze.

(D. c. n.)

metyki, algebry, geometryi, geografii, historyi, statystyki, ekonomii politycznej, ustaw krajowych, fizyki, chemii, etc., etc. Cały, zupełny obszar nauk, potrzebnych w życiu praktycznem do świadomego pełnienia obowiązków obywatelskich, jest świeckim, nawskroś świeckim. Sekularyzowanie przeto edukacyi, wypływające z natury rzeczy obcej wiarom i religiom wszelakim, nie stanowi i stanowić nie może wojowniczego przeciwko Bogu poczynania. Oskarżanie zatem o nie: — czem jest? — skąd pochodzi? — jaki ma sens i cel?...

Pozostawiam pytania te bez odpowiedzi, zaznaczając je dlatego tylko, że ponieważ na gruncie lyońskim występują one wyraźniej i jaskrawiej, aniżeli gdzieindziej, przyczyniają się tem samem nie mało do dyskredytowania w mieście zakładu naukowego dla kobiet, mającego na celu nauczanie rzetelne. Pomimo to jednak zakład stanął, trzyma się i przebija. W chwili otwarcia zgromadził uczennic dwadzieścia. Znalazło się w Lyonie dwadzieścia par małżeńskich, które się odważyły oddać dzieci... „na zatracenie.“ Za temi poszły inne; przybywały uczennice jedna po drugiej i uroczystość rozdawnictwa nagród nastąpiła w obecności panienek osiemdziesięciu. Na rok przyszły zapisało się już sto z górą. Ponieważ zaś wpisy urzędowe rozpoczną się dopiero po wakacyach, spodziewać się przeto należy, iż liceum zgromadzi w murach swoich słuchaczek ilość poważną. Podobnie rzecz się miała w Montpellier, gdzie od siedmiu liczba uczenic w przeciągu dwóch lat wzrosła do dwiestu. Czyni to potrzeba, którą Francya uczuła nakoniec. Nigdy może edukacya kobieca nie była tak niedostateczną i — co gorzej — tak skrzywioną, jak we Francyi. Kobietę układano, polerowano, ogładzano, przyozdabiano w cnoty i niecnoty; ale niwę wiedzy pozostawiano w niej odłogiem. Uznawał to już p. Duruy, gdy tekę ministra oświaty piastował; próbował on wychowanie kobiece z zaduchu klasztornego na czyste wyprowadzić powietrze; próba mu się nie udała. Trzeba było radykalnej we Francyi zmiany, ażeby propozycya p. Kamila Sée uznanie uzyskała i w życie weszła. A weszła już w życie. We Francyi funkcyonuje obecnie 16 liceów żeńskich. Szkoła normalna w Sèvres dostarcza nauczycielek kwalifikowanych. Czternaście nowych liceów niebawem powstanie. To dobrze. Z uczuciem wielkiego zadowolnienia byłem przytomny rozdawnictwu nagród w Lyonie. Jest to początek wiele, nie dla Francyi samej tylko, obiecujący. „Zobaczymy...“ — powiadają na to pisma klerykalne, ufając agitacyi, na którą się wysilają. Zobaczymy — odpowiadamy, ufając, że w uczutej przez społeczność potrzebie jest potęga, której bramy kościelne nie przemogą.

T. T. Jeż.

TEKA NIECZUI.

II.

W liście drugim przechodzi autor *Teki* do uwagi, że „gdybyśmy mieli więcej rozumu,“ to byłoby nam lepiej; wielu nie popadłoby w tę niedolę, w jakiej się znajduje, a i ci, co już popadli, mogliby los swój znacznie poprawić. Nietylko dawania powodów strzedz się powinniśmy, ale samych pozorów, bo te wystarczają do sprowadzenia nieszczęść.

Następnie zastanawia się Kaczkowski nad zachowawczem stronnictwem krakowskiem i już do końca listu zajmuje go ono wyłącznie. Stronnictwo to przyjęło zasadę: „Naj bude, jak buwało,“ bo jest to zasada utrzymywania wiecznej ciemnoty, pozwalająca, aby nieuk był profesorem, głupiec pisarzem, a bankrut bankierem. Skąd jednak stańczycy wzięli hasło: „Magnaci i lud.“ Początków jego w dawnych tradycyach odszukać trudno; trudno bowiem dopatrzeć magnata, któryby próbował opierać się na ludzie wiejskim. Lud ówczesny był martwą bryłą; możnowładztwo polegało na szlachcie, nadużywając jej we wszelkich swoich rokoszach, lecz na szczęście szlachta wyzwoliła się z pod tego jarzma a przypada to na czasy kofederacyi barskiej. Po raz pierwszy zrozumiano u nas znaczenie ludu za Kościuszki, ale i wówczas jeszcze żaden magnat nie myślał o opanowaniu go dla swoich celów. Owa *démocratie nobiliaire*, o której tyle pisał Rousseau, składa się dziś ze szlachty i nieszlachty. Są to miliony — miliony zacne, rozumne i patryotyczne, niedające się ani kupić, jak dawniej, gdyż na to worka nie stanie, ani też okiełznać — i dlatego kłują w oczy stańczyków. Myśl oparcia się panów na ludzie wiejskim pierwszy rzucił Zygmunt Krasiński, sądząc, że wtedy ów gmin szlachecki, w którym widział rewolucyę wcieloną, oni zrównoważą — może nawet przeważą. Obiecywał za to różne piękne rzeczy, mówił, „że magnaty kiedyś wstaną z wielką tęczą chorągwianą i rozpoczną wielki bój,“ a natenczas „z szlachtą polską polski lud“ wyswobodzi Polskę z Krzyża i zrobi z niej... Chrystusa narodów! „Kto tam wie dzisiaj — powiada autor“ — co sobie przytem myślał Krasiński, *poeta eximius et elegantissimus*, ale rozbitego serca i chorobliwej fantazyi — filozof nieumiejący myśleć logicznie, uczuciowy polityk i religijny heretyk.“ Stańczycy wszakże myśl tę podjęli na seryo i wznieśli do politycznej zasady — mniejsza o to dlaczego, czy tylko, ażeby za jej pomocą zyskiwać protekcyę błąkających się jeszcze tu i owdzie magnatów i kluczem tym ich szkatułki *pro publico bono* otwierać, czy też może się im marzy — tym niedobitkom arystokracyi, że wytworzą stronnictwo z magnatów i ich achatesów, na ludzie wiejskim wsparte? Cokolwiekbądź, zawsze im potrzeba, aby lud był ciemnym, nie czuł swego *ja* — a stąd też zawsze przeciwni będą oświacie, zakładaniu szkółek po wsiach a jeśli one mimo to powstawać będą, pokuszą się o opanowanie ich i prowadzenie w tym kierunku, w jakim właśnie potrzebują. Stąd także idzie, że partya podolska, dla której chłop ruski zawsze jeszcze jest „zbójem,“ znalazła punkt zetknięcia ze stańczykami a ostatecznym wynikiem będzie to, że podolanie posiądą tak pożądane im tytuły hrabiów i ekscelencyj — stańczycy zaś opanują nawę delegacyi polskiej w Wiedniu, kierować nią będą, jak zechcą, bez czego nie mogliby dobić się jakiegokolwiek znaczenia w stolicy państwa. Czy taka robota może wyjść krajowi na dobre?

W dalszym, bardzo obszernym wstępie, kreśli autor wtargnięcie stańczyków na arenę polityczną, uformowanie odrębnej kliki, podającej wiecznie społeczeństwo w podejrzenie, narzucenie się ich na mentorów, gdy kraj potrzebował reprezentantów, ludzi zacnych i rozumnych, wykazuje, że licząc na przestrach szlachty przed rewolucyą, „gmach swój, sklecony z gnijących korzeni narodowego dębu, zbudowali stańczycy na *stracha*“ a zdenuncyowali spokojny naówczas naród, „ażeby zgromadzić około siebie tchórzów i frantów, stworzyć z nich fakcyę, z którejby można na polityczne targowisko wyjechać i tam się przedstawić z pokorną prośbą o nominacyę na zagranicznego żandarma — w swej własnej ojczyźnie.“ Poczem przechodzi autor do Zyg. Krasińskiego, dziwi się, skąd go sobie przywłaszczyli stańczycy — jego, który gdyby żył, pierwszy by ich potępił—jego, który potępił stanowczo Wielopolskiego i tych wszystkich, co jakiekolwiek usiłują tworzyć fakcye w narodzie. Następnie z wielką trzeźwością charakteryzuje Krasińskiego, stwierdza, że cała jego poezya ma tylko bardzo względne znaczenie a cechująca ją rozpacz była dla nas zgubną. Wprawdzie wydostał się w końcu Krasiński z przepaści zwątpienia i rozpacznych szamotań, ale dokądże to zajechał? Jego pojęcia przez długi czas są bałamutne i sam nie wie, czego chce. Przeczytał — mówi autor — jednego filozofa i uwierzył w panteizm, przeczytał drugiego i uwierzył w ateizm: nuż tedy rwać sobie włosy na głowie, że z człowieka nic nie zostaje. Dowodzi to wszystko, że szkół porządnych nie przeszedł i nie miał w sobie poważnej podstawy. Jego poglądy na kwestye społeczne co najmniej naiwne a poglądy w *Nieboskiej komedyi* na sprawę polską tak rozpaczne, że gdyby w istocie społeczeństwo nasze było takiem, jakie tam znajdujemy przedstawione, to zaprawdę lepiej, ażeby ten naród wytłukł się między sobą i zginął. Cóż dopiero mówić o zamianowaniu Polski „Chrystusem narodów“ i głoszeniu, że przez nią będą one zbawione! Dziecinne to pojęcia a bardzo mętne w rzeczach wiary. W Krasińskim widzieć można, co kto chce, lecz rozumu; na którym świat stoi — ani śladu.

Podziwiając wiarę niektórych ludzi w proroctwa i te bzdurstwa, które za innymi powtarza p. St. Tarnowski, jakoby Krasiński wywieszczył rzeź galicyjską, podczas gdy już w r. 1845 każdy ekonom wiedział, że jeżeli „surdutowi“ powstaną, to chłopi przeciw nim się obrócą, — opowiada autor wesołą historyjkę o innym znowu „proroku“ Krystynie Albrecht, żydzie z Saksonii, grasującym tam między r. 1830 a 1840. Niech p. Tarnowski więcej czyta, niech przerzuci sobie książeczki: *Der Einzug Israels in Europa* i *Der Weg nach Sion* a dowie się, że już inni torowali drogę do zrobienia z Krakowa polskiego Jeruzalem, a z Galicyi Ziemi obiecanej. Wyżej powołany „prorok“ naucza, że Jezus Chrystus urodził się ...w Krzeszowicach, w majątku hr. Potockich, pod Krakowem, że stolicą Syonu, Hebron, jest Kraków, że Gibeon, to Ruś Czerwona itd. Jeżeli zaś — dodaje autor z uśmiechem — Chrystus Pan mógł się narodzić w Krzeszowicach, dlaczegóżby Matka Boska nie miała urodzić się w Chrobrzu, w majątku Wielopolskich, a czterej ewangeliści: jeden w Dzikowie u Tarnowskich, drugi w Prokocimie, trzeci w Kurozwękach, czwarty u Wodzickich w Tyczynie?

Doskonałą znajdujemy w *Tece* charakterystykę p. Pawła Popiela. Jeden z dysputujących w niebie określa go w ten sposób: P. Paweł Popiel przyjacielem moim nie był i być nie mógł, ponieważ czepiał się Wielopolskiego. Miałem go zresztą zawsze za mierność a znając przez lat wiele, nigdym się jego zdania dowiedzieć nie mógł, chociaż i to prawda, żem tego nie był ciekawy. Widywałem go zawsze w świecie wszystkich zjawiających się w Krakowie znakomitości, grzejącego się chętnie przy cudzych promieniach, ale żeby sam kiedy czem zabłysnął, tegom nic spostrzegł. Zjawiał się także i przy sprawach publicznych, lecz zawsze na szarym końcu i zawsze tylko na początku — tak, iż zanim się sprawa skończyła, jego już tam dawno nie było. Chodziły wieści o jego wielkiej inteligencyi, katolicyzmie czternastej próby i rozległych stosunkach; powiadano, że znał Montalemberta, Falloux i prałatów w Rzymie: „jenerała widziałem i z paziem gadałem,“ lecz żeby coś kiedy zrobił, żeby gdzieś z czemś wystąpił publicznie, żeby jaką książkę albo przynajmnicj rozprawę napisał — nigdy nie słyszałem. Powiadano, że ma węch niepospolity i dlatego to zapewne paupry śpiewali o nim: „Pan Popiel w kamienicy a jego nos na ulicy!“ Podówczas sława jego sięgała od Kleparza do Krowodrzy, dzisiaj podobno doszła już do Lwowa a jak jeszcze lat osiemdziesiąt pożyje, to może się o nim dowi

Warszawa. Musi tam między stańczykami srogi być nieurodzaj na wielkich ludzi, skoro aż z niego zrobili sobie patryarchę!

Prócz p. Popiela kreśli autor jeszcze sylwetkę Leona Rzewuskiego, mieszkającego niegdyś w Krakowie na Szlaku, gdzie dzisiaj p. Stanisław Tarnowski, słynnego „hetmana bez buławy," jak go zwano we Lwowie — przepysznej figury do udekorowania stańczykowskiej partyi. Za młodu p. Leon był typem arystokratycznego kawalera wszystkich wielkich salonów od Carogrodu aż do Londynu. W r. 1848 wystąpił z propagandą socyalistyczną, wkrótce wszakże nawrócił się na prawowitą wiarę, został bardzo nabożnym człowiekiem, zaczął nawet św. Augustyna tłomaczyć, aż wreszcie, w podeszłym już wieku, odprawił pielgrzymkę do... Wiednia i powrócił szambelanem. Wielkie imię, odpowiedni majątek, doskonały typ „demagogicznego szambelana," przytem zły polityk a dlatego właśnie pretendujący do nieomylnej powagi — czyż, gdyby stańczycy mogli fabrykować sobie według własnej recepty magnatów, znaleźliby doskonalszy egzemplarz!

Kilka następnych stronnic *Teki* poświęcone jest magnateryi w dawnej Polsce i konserwatyzmowi. Zaznaczywszy, że dziwnie zaiste wygląda partya krakowska, chcąca uchodzić za magnacką — bez magnatów, których właściwie nie ma, autor powiada: Kto chce dzisiaj tworzyć stronnictwo magnackie i przytem chce się na przeszłości opierać, chyba liczy na to, iż pokolenie obecne wcale nie zna historyi. Stronnictwo arystokratyczne w ogółowem znaczeniu, jako łączące w sobie wszystkich spadkobierców wielkich imion i wielkich majątków, jako przedstawiające pewną warstwę społeczną, nie ma u nas nawet zmyślonej tradycyi. Magnaci skupionej z sobą i z siebie samych zorganizowanej partyi nigdy nie tworzyli, tylko ten lub ów, albo kilku razem wiązali się w fakcye, usiłując przemocą lub intrygami osiągnąć jakieś zamiary całkiem uboczne — często nawet egoistyczne. Arystokraci nasi aż do ostatniego rozbioru nawet nie mogli połączyć się z sobą, bo chowali na swych dworach nietylko tradycyjną politykę swoich familij, ale i tradycyjną nienawiść jedni do drugich.

Nie o wiele bogatszą jest przeszłość nasza w tradycye stronnictw konserwatywnych. Jak ówczesny liberalizm odnosił się tylko do wolności wyznania, tak zachowawczość był to wyraz całkiem niezrozumiały, żadnych stronnictw nie znano. Pod koniec Księstwa Warszawskiego opinie się podzieliły, lecz także nie między postępowych i konserwatystów, tylko jedni widzieli zbawienie kraju w Rosyi, drudzy w nim samym. Nikt tam nie chce ówczesnego stanu konserwować — wszyscy pragną lepszego losu, przyszłości, nikt nie tamuje rozumnego postępu, nawet Wincenty Krasiński. Dopiero z odkryciem spisków i rozkwitem romantyzmu zaczynają się zarysowywać stronnictwa, zawsze jednak na tle jednolitem narodowego ducha. Lecz i wtedy jeszcze nie ma konserwatywnego stronnictwa, są tylko umysły chłodniejsze, grupy obywateli lękających się stawiać na kartę ubezpieczony traktatami byt Królestwa.

Tu podaje autor przykłady, do czego prowadzi nic niebudujący konserwatyzm, przypomina b. Towarzystwo rolnicze w Warszawie i rolę, jaką ono wtedy odegrało — w końcu zapytuje, co mamy właściwie konserwować? Język, ziemię i wiarę ojców zachowuje, jak kto może, a najmniej dzisiejsi konserwatyści, którzy język kaleczą, wiarę udają a ziemię sprzedają. Zresztą, co mamy więcej do konserwacyi? Niedbalstwo, lenistwo, ciemnotę ludu, niegospodarstwo, próżność rodową i osobistą, niezdatność do handlu, nieudolność w przemyśle etc. — tego wszystkiego jak najprędzej pozbyć się nam należy. Wywieszanie sztandaru konserwatywnego u nas — to bezsens — bezsens zawsze, a zaród nieszczęścia w krytycznych chwilach, jak o tem poucza nas niedaleka przeszłość.

Nie konserwatyzm — kończy autor — ale postęp powinien być naszem hasłem i naszym sztandarem!

J. Z.

Z GALICYI.

Lwów, d. 12 sierpnia.

Wiadomości z Tonkinu. — Wspomnienie pośmiertne. — Dziesięć lat panowania. — Porównanie z rządami hr. Gołuchowskiego. — Nieutuleni w żalu. — P. Filip Zaleski. — *Tabula rasa.* — Zabiegi stańczyków. — Kolonie wakacyjne. — Zabiegi *Kuryera lwowskiego.* — Zgromadzenie robotnicze. — Pocieszające objawy. — Zwrot ku robocie legalnej. — Program Towarzystwa robotniczo-demokratycznego. — Rezolucya do Rady państwa.

Tu-duk poszedł na pensyę — miejsce jego obejmuje za sprawą pani Tu-dukowej — Fa-duk... Tak obwieszcza całemu światu *Szczutek*, że od dłuższego czasu wielokrotnie (zwykle w porze odnawiania prenumeraty) zapowiadane i odwoływane pogłoski o ustąpieniu hr. Potockiego z posady namiestnika Galicyi zamieniły się wreszcie w fakt, niemogący już ulec zaprzeczeniu. Tak, „pan Alfred" — jak się poufale *Czas* wyraża — należy już do przeszłości! „Drogie jego szczątki" chodzą jeszcze wprawdzie po świecie, albo raczej siedzą, gdyż hrabia był przeciwnikiem wszelkiej agitacyi, wskutek czego pisma nasze humorystyczne przedstawiały go zawsze w postawie siedzącej — księga jego dziejów jest już jednak zamknięta i czas przystąpić do nekrologu. Jakkolwiek bowiem życzyć mogę Jego Ekscelencyi sto lat jeszcze żywota, wątpię, aby, prócz daty zgonu, dostarczyły mi one wątku do najskromniejszej opowieści.

Hr. Alfred Potocki liczy obecnie lat 65. Początek jego działalności publicznej gubi się w pomroce dziejowej ostatnich lat Bachowskiego systemu rządzenia naszą monarchią. Młody hrabia poświęcił się zrazu karyerze dyplomatycznej a debiutował po raz pierwszy przy austryackiej ambasadzie w Londynie. Nie wiadomo, ile listków liczyłby wieniec jego sławy, uwity z ziółek, zebranych na uludnej niwie Talleyranda, gdyby sportowi temu poświęcił się był przez czas dłuższy. Już bowiem w r. 1861, z nastaniem ery konstytucyjnej w Austryi, porzuca służbę dyplomatyczną po za granicami monarchii, gdy w życiu jej wewnętrznem kazano mu brać udział. Cesarz mianuje go wtedy członkiem Izby panów — szlachta zaś galicyjska obiera swym posłem do sejmu krajowego. Dnia 30 grudnia 1867 otrzymuje nominacyę na ministra rolnictwa. Było wtedy t. z. *Bürgerministerium* u steru, w którego skład wchodził i hr. Taaffe. Po dwu latach ustępuje wraz z Taaffem, niebawem jednak, bo już w trzy miesiące później, gdy poprzedni gabinet runął, tworzy Potocki nowe ministeryum i od 15 kwietnia 1870 do 7 lutego 1871 jest prezesem ministrów. Przez trzy następne lata schodzi chwilowo z widowni politycznej, aż w r. 1874 mianowany zostaje marszałkiem krajowym a w następnym zaś namiestnikiem.

Dziesięcioletnie rządy hr. Potockiego w Galicyi nie zaznaczyły się niczem zgoła wybitniejszem, ani dodatnio, ani ujemnie. Odbija się to tem więcej, że posadę namiestnika objął on bezpośrednio po hr. Agenorze Gołuchowskim, człowieku niezwykłej siły ducha i energii, którego możnaby nazwać galicyjskim Wielopolskim, gdyby prócz rysów dodatnich, posiadał i strony ujemne chakteru tego ostatniego. Hr. Potockiemu brak było przedewszystkiem energii, to też przez całych lat dziesięć nic nie robił, dając się zastępować we wszystkich czynnościach wiceprezydentowi namiestnictwa. Wiedniowi nie naprzykrzał się wcale. Podczas gdy poprzednik jego przyczynił się w niemałym stopniu do wytargowania autonomii i wyjątkowego stanowiska Galicyi, hr. Potocki nie wystarał się nawet o jedną koncesyę na krajową drogę żelazną. Dopuścił natomiast do ścieśnienia zakresu władzy krajowej Rady szkolnej, chociaż sam, jako namiestnik, był jej przewodniczącym.

Nie ma zatem najmniejszego powodu do zbytecznego opłakiwania politycznego zgonu ustępującego namiestnika, jak to czyni kilka pism krajowych, które, nieutulone z płaczu, tem się jedynie pocieszają, że następca wejdzie prawdopodobnie w jego ślady... A, brońże Boże, aby syn lubej pamięci Wacława z Oleska, gubernatora Galicyi w pamiętnych chwilach r. 1848 i 1849, nie potrafił zdobyć się na nic innego, jak tylko na naśladownictwo swego poprzednika! P. Filip Zaleski nie zaznaczył jeszcze dotychczas zgoła swego charakteru politycznego, nie można jednak wątpić, że zaznaczy go barwami silniejszemi i więcej sympatycznemi. Niewiele o nim dotychczas powiedzieć możemy, to jednak pewna, że nie jest stańczykiem; partya bowiem krakowska usilnie forytowała na posadę namiestnika hr. Ludwika Wodzickiego, dyrektora — proszę się nie przestraszyć — *Länderbanku*... Muszę jednak dodać, że i hr. Potocki, jeśli o nazwę chodzi, również nie był stańczykiem.

Przechodzę do spraw brukowych a mam dziś do zanotowania objaw niezwykle pocieszający, fakt zajęcia się względami hygienicznymi młodzi naszej szkolnej. Dzięki *Kuryerowi lwowskiemu* mamy już dzisiaj kilkudziesięciu chłopców na kolonii wakacyjnej w Żabiu, gdzie swobodnie oddychać mogą świeżem i zdrowem, górskiem powietrzem Karpat, zamiast zatruwać się zgniłymi wyziewami Pełtwi i podwórz kamienic lwowskich. Za zajęcie się sprawą kolonii, zajęcie się szczere i gorące, za wytrwałość w nawoływaniu do składek na tę, błogie skutki niosącą, instytucyę — należy się *Kuryerowi* wyraz serdecznego uznania.

Wczoraj przed południem odbyło się w sali restauracyjnej pojezuickiego ogrodu „walne zgromadzenie robotników wszystkich rzemiosł." Zebrań takich, noszących na sobie zawsze dość wybitną cechę socyalistyczną — gdyż urządzają je i porządek dzienny układają socyaliści — mieliśmy już w ostatnich paru latach kilka; żadne z nich jednak nie było może tak liczne, jak wczorajsze, i żadnemu z nich nie możemy przyznać większej doniosłości od wczoraj odbytego. Doniosłość tę zasadzam przedewszystkiem na zmianie tonu i drogi, na jaką socyaliści tutejsi, w ogóle proletaryat robotniczy poczyna wkraczać. Zamiast bawić się w rozlepianie licho redagowanych a gorzej jeszcze odbijanych odezw podburzających, zamiast wykrzykiwać przeciwko wszystkim i wszystkiemu, co obecnie istnieje i narażać się tylko na prześladowanie ze strony policyi i więzienie — robotnicy nasi poczęli teraz rozmyślać nad więcej naturalnym przebiegiem poprawy interesów swoich i zdecydowali się wejść już stanowczo na drogę roboty legalnej. Poważniejszemu kierunkowi temu, panującemu obecnie od pewnego czasu w kołach robotniczych, dał wyraz biorący udział w zgromadzeniu, poeta i współpracownik *Gazety narodowej*, p. Bolesław

Czerwieński, o którego *Nieboszczyku* pisałem niedawno. Mówca ten, który „ma zaszczyt“ — jak mówił wczoraj — należeć do partyi socyalno-demokratycznej, wskazał liczne ofiary, jakie pochłonęła nierozważna agitacya i doradzał obranie drogi więcej umiarkowanej. W tym celu przedstawił projekt Towarzystwa robotniczo-demokratycznego, mającego w sposób legalny bronić interesów robotniczych. Towarzystwo to winno być ogniskiem całej partyi robotniczej, zsolidaryzowanej na podstawie „minimalnego“ jej programu, streszczającego się w punktach następujących:

a) pod względem politycznym: powszechne, bezpośrednie prawo głosowania do wszystkich reprezentacyj państwa, kraju, powiatu i gminy; zupełna wolność myśli i słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń, zniesienie stempla dziennikarskiego i swoboda kolportażu; bezpłatna nauka we wszystkich zakładach naukowych;

b) pod względem ekonomicznym: zakładanie spółek wytwórczych na podstawie kolektywizmu; zniesienie korporacyj przymusowych a zaprowadzenie wolnych fachowych stowarzyszeń robotniczych na podobieństwo francuskich *syndicats ouvriers*; sądy polubowne między pracodawcami a robotnikami; kasy zapomogi i inwalidów, do których wszyscy bez wyjątku, także i pracodawcy przyczyniać się mają; Izby rękodzielnicze, w których zasiadać mają także robotnicy; zastąpienie terminatorstwa nauką w szkołach fachowych, redukcya dnia roboczego do 10 godzin dla dorosłych a do 8 dla młodzieży od lat 14 do 18, z zupełnem wykluczeniem dzieci niżej lat 14; polepszenie stosunków zdrowotnych po fabrykach i rękodzielniach, wreszcie jak najszybsze wprowadzenie w życie świeżo właśnie uchwalonej w Radzie państwa i sankcyonowanej instytucyi inspektorów fabrycznych.

Projekt powyższy, obszernie przez projektodawcę (p. Czerwieńskiego) motywowany, po wyczerpującej dyskusyi, w której wzięło udział kilkudziesiąt osób, przyjęty został przez aklamacyę. Na porządku dziennym było także odczytanie uchwalonej zgodnie z tym programem na poprzedniem zgromadzeniu rezolucyi do Rady państwa w sprawie ustawy przemysłowej. Nad rezolucyą tą, jako już dawniej uchwaloną, nie było żadnej dyskusyi. Przyjęto ją w całości.

Zebranie wczorajsze odbyło się poważnie i całkiem spokojnie, czem wyróżniało się dodatnio od poprzednich zgromadzeń tego rodzaju, które zazwyczaj przed wyczerpaniem jeszcze rozpraw bywały rozwiązywane.

Rewera.

Z GÓR.

I.

(Do Zakopanego).

„Jechać czy nie jechać w Tatry?“ Takiem pytaniem, jak drogowskaz na frontowej ścianie *Czasu* przybitem, powstrzymywał właśnie i oświecał dr. Rostafiński dążących do Zakopanego, gdym stanął śród murów Krakowa. Ponieważ jednak pytanie owo równało się temu np.: „kochać czy nie kochać panny Agaty“ (na co odpowiedź prosta: jak się komu podoba). więc nie wysłuchawszy rady szan. profesora, siadłem na wózek góralski pod opieką serdecznego odtąd przyjaciela mojego — Józefa Sobczaka.

— Jak się nazywa ta góra? — rzekłem — wskazując na pierwszą większą wyniosłość za Magielanami.

— Kto tam wie! Pewnie nijak — odparł Józek lekceważąco.

— A ta — dalej?

— Pewnie nijak.

Do licha! Czyżby takie olbrzymy mogły być bezimienne? Przecież to nie podrzutki, ale prawowite, najmłodsze dzieci Karpat.

— Byliście już w górach? — pyta po chwili Józek.

— Nieraz.

— To chyba od węgierskiej strony, bo do Zakopanego jedziecie przecie pierwszy raz.

Teraz dopiero odgadłem, że przez „góry“ rozumiał on tylko Tatry; ażeby jednak usprawiedliwić się z tej sprzeczności, dodałem:

— Byłem w Alpach.

— Aha! Wysokie?

— Wysokie.

— Ale pewnie nie tak ładne.

Ustąpiłem.

Szosa dobra, ale falista, lekki wózek ciągle podskakuje, w powietrzu żar; nic też dziwnego, że po kilkunastu godzinach trzęsienia poczułem zawrót głowy i położyłem się całkiem obojętny na rozmiary i wdzięki wszystkich bąblów i wypuklin ziemi. W tej chwili wolałbym, ażeby ona była mniej garbata i pozwoliła wózkowi toczyć się po gładkiej drodze. Zmęczony migreną drzemałem, marząc tylko o noclegu w Nowym Targu, gdy nagle uczułem przesunięcie się obcej ręki po mojej twarzy i całus. Otworzyłem oczy — nademną klęczał pochylony Józek.

— Już niedaleko, ze słonkiem zajedziemy. Może wina?

— Dziękuję wam — nie.

— Może wody?

— Nie.

— Pobledliście... Co tu zrobić? A!

Wskoczył na kozioł, ściągnął konie i zawołał:

— Prr! Patrzcie!

— Co takiego? — spytałem, stanąwszy na wózku.

Józek odgarnął z nakrycia wozu płótno.

— Góry!

Zamroczonemi oczami nie dostrzegłem z początku nic. Góry widziałem, ale też one stały po obu stronach naszej drogi od rana.

— Tam — o! — mówił — wskazując biczem — wszystkie wyszły: Gerlah, Krywań, Giewont...

Staliśmy na wyżynie pod Nowym Targiem. Zachodzące słońce barwiło niebieskawo gromadę czarnych skał, których szczyty, lekko popruszone śniegiem, sterczały martwo, posępnie, odbijając od kulistych, zielonością ubranych wyniesień. Zdawało się, w tem zestawieniu, że krainę życia zamyka wielki cmentarz natury, pokryty mnóstwem kolosalnych nagrobków, około których nie rosną żadne krzewy, nad którymi nie śpiewa żaden ptaszek. Na tych ciemnych masach czas pewnie nie zatarł jeszcze znaków, wyrażających jakieś straszne chwile, jakieś boleści ziemi, gwałtowne rozdarcie się jej łona, konwulsye, wstrząśnienia, skamieniałe wygięcia histeryczne. Z tego posępnego obrazu wieje uroczysty i poważny smutek. Góral uśmiecha się do Gerlahów i Giewontów, jak grabarz do znajomych sobie pomników, śród których życie spędził i pod którymi jego żona, podśpiewując, pończochę robi; mnie przejmuje zgroza.

Ale dokazał swego, bo otrzeźwiłem się. Nazajutrz wypoczętem i jaśniejszem okiem w majestacie czarnych kolosów dostrzegłem pewien urok. Może zresztą poranne słońce obrzuciło je weselszymi blaskami. Jesteśmy jeszcze oddaleni o mil trzy, a zdaje mi się tak blisko, że na szczytach dojrzę przelatującą kozę. Zwykłe złudzenie wobec olbrzymów: wtedy, gdy są od nas bardzo daleko, sądzimy, że moglibyśmy bez wyciągnięcia ręki swojemi czapkami nakryć ich głowy. Najbardziej wysunięty Giewont wyraźnie przed nami tańcuje. Kiedyż będziemy już u jego stóp — w Zakopanem!

Nareszcie!.. Długą, bo blisko milową dolinę, od której wybiegają ku górom pobocznice, obstąpiły góralskie domki. Józek staje przed jednym z nich i powiada, że mi w nim będzie dobrze, bo „gaździna“ (gospodyni) porządna. Wierzę i osiedlam się.

Pierwszy hołd po przybyciu należało złożyć królowi albo raczej bogu tego miejsca — czcigodnemu doktorowi Chałubińskiemu. Spotkałem go zaraz po wyjściu, ściskającego swych przyjaciół-górali.

— No, czyż tu nie pięknie? zapytał z głębokiem uniesieniem.

— Pięknie — odrzekłem, doprawdy — przedwcześnie.

— Przekonasz się pan o tem lepiej, jak zobaczysz góry.

Więc jeszcze nie widzę? Cóż tam za urok ukryty?

Pożegnałom na chwilę szanownego profesora, który szedł odwiedzić chorego, i udałem się do Kasyna. Jest to restauracya i siedziba Towarzystwa Tatrzańskiego. Spodziewałem się znaleść mrowisko ludzkie, a spotkałem tylko jednego człowieka, który na werandzie pochłaniał z taką chciwością obiad, jak gdyby był umieszczony na szyldzie i kuszącym apetytem wabił gości. Służący nawet widocznie zdziwił się mojem przybyciem. Zanim mi podał jedzenie, odczytałem dla rozrywki dwa ogłoszenia, z których jedno zastrzegało, że kto trzy razy odwiedził czytelnię Towarzystwa, obowiązany zapłacić 3 zł. r., drugie zaś uwiadamiało, że ceny potraw zostały znacznie zniżone. Dwie te kartki w znacznej części objaśniły mi pustkę. Restauracya wszakże starała się naprawić błąd — ale daremnie, tak dalece, że nie spotykając później nikogo przy jej stołach, zacząłem się obawiać, czy przez wdzięczność nie umieści mego biustu w sali bufetowej — i zrejterowałem w porę.

— Dziś pan wypocznij, a jutro spróbujemy nóg pańskich — rzekł przy rozstaniu dr. Chałubiński.

Tego więc dnia poprzestałem na spacerze i rozmyślaniu, czemu jakiś młodzian, uśmierzający gniewy olbrzymiego psa przed pocztą i salutujący ważniejszym przechodniom, nosi czerwoną czapkę.

Widocznie egzamin z wejścia na Nosal wypadł nieźle, bo szanowny profesor przepowiedział mi powodzenie w wycieczkach. Na tym progu tatrzańskim uczułem po raz pierwszy namiętność górskiego włóczęgi i przyjemność kozicy. Chociaż silny wiatr usiłował nas zdmuchnąć ze skały, leżeliśmy na jej grzbiecie z rozkoszą, wpatrzeni w rozczesywane i targane wichrem obłoki, zapomniawszy zupełnie, że tam gdzieś daleko — dym asfaltowy ludziom w nosach kręci, szczęk sygnałów szlifierskich uszy im rozdziera, kurz gardła zasypuje a Luxy...

— Jak tu dobrze!

— Dobrze!

Na tyle jedynie słów zdobyć się możemy.

— Przygotuj pan nogi — w sobotę pójdziemy na wycieczkę — rzecze wreszcie zacny profesor i powoli zbierając szarutki lub rozglądając się, schodzimy wraz ze słońcem na dół.

A. S.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Dr. J. Polak. **Wychowanie dzieci u rozmaitych narodów**, Warszawa, Centnerschwer.

Jeszcze nie zginęła... literatura polska, dopóki ma d-ra Polaka! Płodny ten pisarz regularnie co parę tygodni wypuszcza w świat nowe dziecię swojego ducha. Prawda, że wszystkie niemowlęta blade są, chude, bezkrwiste, ale w tem nie ma nic dziwnego; kto, jak dr. Polak, ślubuje miłość tylu umiejętnościom i zarówno je sympatyami swemi obdziela, ten zdrowego potomstwa płodzić nie może. Do takich anemicznych tworów należy i przytoczone dziełko. Jest to przeróbka z pracy dra Plossa: *Das Kind in Brauch und Sitte der Völker*, który znowu streszcza rezultaty spostrzeżeń innych badaczów. Ma to być niby szkic etnograficzny, ale jako taki jest za powierzchowny, w każdej większej historyi kultury znaleść można obfitsze dane.

Autor kolejno kreśli pierwsze chwile życia, śmierć dziecka, nadawanie imion, upiększanie ciała, hartowanie, powijanie, sposoby noszenia, kołysanie, karmienie, leczenie, dzieciobójstwo, fizyczne i moralne kształcenie, zabawy i piosnki, nawet prawa i obowiązki dzieci w rodzinie. Nie mamy pod ręką dzieła Plossa, nie możemy więc ocenić, co zeń wyrzuconem zostało, ale w każdym razie w przeróbce p. Polaka nie ma ono prawie żadnej wartości. Suche wyliczenie wierzeń i zwyczajów rozmaitych ludów, zbyt pobieżne zresztą i zaczerpnięte z drugiej ręki, jako materyał naukowy użytem być nie może, a ciekawości czytelnika nie zaspakaje wcale, bo nie objaśnia ich pochodzenia. O symbolizmie, który w obrzędach i wierzeniach ma pierwszorzędną wagę, autor wspomina tylko od niechcenia. Jeżeli zaś wdaje się w objaśnienia, to zwykle niefortunnie. Chrzest np. według jego zdania powstał jako dietetyczna konieczność; przypuszczenie to ma pewną racyę bytu, ale nie widzimy wcale, jaką drogą ta kąpiel noworodka rozwija się stopniowo do znaczenia obrzędu religijnego i staje się wreszcie symbolem oczyszczenia od grzechu pierworodnego. Od p. Polaka dowiadujemy się tylko, że sakrament chrztu używa się, w wielu krajach dla zapobieżenia wszelkim „nadprzyrodzonym szkodliwościom“— i nic więcej. Podobnych przykładów możnaby naliczyć sporo. Trudno odgadnąć, co w danem dziełku jest oryginalną pracą autora; bez zaprzeczenia należą doń podcyfrowane literami J. P. przypiski i wzmianka o kołysankach polskich; szkoda więc, że nie sprostował kilku błędnych wiadomości, dotyczących Rosyi i innych narodów słowiańskich. Specyalistom pozostawiamy do oceny twierdzenie o dowolnem odtwarzaniu pokarmu w piersi przez kobiety; nam wydaje się ono nieprawdopodobnem, zwłaszcza wtedy np., gdy po śmierci matki obowiązek karmienia przyjmuje na siebie babka, w kilkanaście lat po odstawieniu własnego dziecka, a niekiedy nawet w trzydzieści.

Nazwiska wielu ludów poprzekręcane są do niepoznania. Kolijusze (?) w Kamczatce, Orseci (osetyni zapewne) — na Kaukazie itd. Wogóle język tej książki jest nadzwyczaj niedbały i upstrzony dziwacznemi wyrażeniami; np. rękoczyn — nietylko w znaczeniu operacyi, ale każdego działania, dokonywanego rękami, kmotr zamiast kum itp. Korekta zaś jest tak zaniedbaną, że wydawca uznał za możliwe wyliczyć ważniejsze tylko omyłki druku.

Podróż około świata młodego Smilesa. Warszawa, W. Dawid.

Szesnastoletni chłopiec, syn znanego autora *Samopomocy* z porady lekarzy udał się w podróż morską dla poprawienia zdrowia. Po przybyciu do Australii, mając pozostawioną sobie przez ojca możność powrotu lub dłuższego pobytu na miejscu, wybrał to ostatnie. Znalazłszy odpowiednie zajęcie, przez półtora roku przebył w kolonii, poczem przez Ocean Spokojny dostał się do Ameryki północnej a stamtąd powrócił do ojczyzny. Młody autor w prosty i bezpretensyonalny sposób opowiada swoje wrażenia. Ciekawych wypadków, głębokich spostrzeżeń nie ma w książce tej wcale, ale pomimo to sprawia ona na czytelniku nader przyjemne wrażenie. Podziwiać doprawdy należy samodzielność, zdrowy rozsądek i energię tego chłopca, który wpośród obcych ludzi, w nieznanych warunkach daje sobie radę, jak wytrawny podróżnik. Nie jest to wcale jakieś wzorowe dziecko; owszem bawi się, śmieje, żartuje z panienkami i, o zgrozo! wyszydza bigoteryę i sztywność angielską. Prostota i szczerość wieją z każdej kartki opowiadania, ani jednego fałszywego uczucia, ani jednego frazesu. Gorąco polecić możemy dziennik młodego Smilesa do użytku polskiej młodzieży. Przyniesie on jej stokroć większą korzyść, aniżeli wszystkie opisy podróży zwykle do rąk młodzieży wsuwane.

Jest to bez zaprzeczenia jedno z najlepszych dzieł przyswojonych w ostatnich czasach naszej literaturze.

Przy naszym systemacie wychowania, trzymającym młodzież w zupełnem odosobnieniu od warunków rzeczywistego życia i starannie zawiązującym jej oczy, aby nie dostrzegła zbyt wcześnie gorszących widoków, przy systemacie krępującym wszelką samodzielność i niezależność umysłową — nie wyrabiają się, niestety, takie charaktery. U nas zdarza się często, że troskliwi rodzice odprowadzają do Warszawy dwudziestoletniego kandydata do uniwersytetu, z obawy, że kochany pieszczoszek nie da sobie z początku rady w obcem mieście. Anglik przeciwnie wysyła 16-letniego studenta o tysiące mil i ten dzielny chłopiec ani na chwilę nie czuje się w kłopocie, sam pracuje na siebie, podróżuje, gdzie i jak chce i powraca do domu, jeśli nie z powiększonym zapasem wiadomości, to w każdym razie z sformowanym zupełnie charakterem. To też z takich dzieci wyrastają tam niezmordowani pionierowie postępu i cywilizacyi, a nasze gagatki zdatne są tylko na przegnite podpory tradycyi.

P.

LIBERUM VETO.

Powszechna bijatyka. —Dwie klapy bezpieczeństwa.— Odkrycia kolejowe. — Rozwiązana zagadka. — Odpowiedź dróżnika. — Pozdrowienie nowej ery. — Wezwanie do pozbycia się pożyczonej zdolności. — *National Zeitung*. — Naiwne pytania. — Polen-hetze. — Nowoczesne dziwadło. — Jego wpływ na antisemityzm u nas.

Węgrzy biją żydów, kroaci biją węgrów, włosi biją niemców, irlandczycy biją anglików — wszystkie niemal narody Europy wodzą się za czuby, z wyjątkiem naturalnie tych, dla których słowo *bić* posiada tylko stronę bierną bez czynnej. Patrząc na te, tak zwane delikatnie „rozruchy,“ *Nowosti* mniemają, że kilka państw dla osłabienia nacisku par i uchronienia swych kotłów od pęknięcia, postanowiło otworzyć klapy bezpieczeństwa — wojną. Podróżujący i odwiedzający się wzajemnie cesarze, królowie i ministrowie mają właśnie umawiać się, jakby tej operacyi dokonać siłami wspólnemi. Gazeta petersburska sądzi, że jest to środek bardzo dowcipny, ale, że jeszcze dowcipniejszym i skuteczniejszym byłby inny, mianowicie otworzenie klapy bezpieczeństwa za pomocą stosownych zmian wewnętrznych. Jeśli wszakże radę tę usłyszą królowie: serbski i rumuński — nawet cesarz austryacki, odpowiedzą niezawodnie: ponieważ nie jesteś socyalistą, dalibóg nierozumiemy, jakich „zmian wewnętrznych“ żądasz od nas — panie Notowicz? A jednak p. Notowicz ma racyę.

I tak: gdyby dyrekcya pewnej warszawskiej kolei żelaznej zapowiedziała była stosowne „zmiany wewnętrzne,“ nie ginęłyby jej rampy i wagony a dziś nie potrzebowałaby bić się ze swymi urzędnikami. Od kilku miesięcy jej rewidenci robią daleko szybsze „odkrycia,“ niż ongi hiszpanie w Ameryce. Niemal co tydzień znajdują oni nowe olbrzymie braki, które, wyrażone w cyfrach, przypominają nam chronologię indyjską. Jak donoszą pisma codzienne, znowu „odkryto“ zniknięcie iluś tam *setek tysięcy* korcy węgla i iluś tam *wozów* akt. Przyczyną znacznego opóźnienia się pociągu dyrekcyi do zbadania prawdy, było to, że jej poprzedniczka nie mogła żadną miarą rozwiązać zagadki: jakim sposobem urzędnik, pobierający 500 rs. pensyi, może wynajmować mieszkanie za 1,000 i pięknej Rózi płacić 2,000! Dopiero zarząd obecny wpadł na bardzo prostą, a przedziwnie węzły kolejowe rozcinającą logikę: ponieważ: 1) z niczego nic nie powstaje a 2) w naturze nic nie ginie, przeto owe rampy, mosty, węgle... Wniosek już nie trudny.

— Iz czegóż się tak głupi cieszysz—spytał mój znajomy dróżnika, uradowanego wiadomością o śledztwie — cóż na tem zyskasz?

— Ba — odrzekł — może już przez nowy szyniel nie będę widywał Krakowa.

Odpowiedź ta przekonywa, że haracz bezdennym kieszeniom rycerzów przemysłu kolejowego płaciło nietylko Towarzystwo, ale i biedni oficyaliści. Pamiętając o ich krzywdzie, jeszcze raz pozdrawiam nową erę, od której przeniewiercy zaczną być podobno prezentowani sądowi, nie zaś, jak dotąd, usuwani po cichu procedurą rodzinną, mającą dla świata jedynie: sza! Owo *sza*, które było hasłem dawnego zarządu kolei widocznie okazało się zbyt kosztownem, kiedy ustąpiło miejsca jawności.

Moi kochani rodacy, wielcy i mali, bogaci i ubodzy, ukształceni i głupi, czy nie ma na to żadnej rady, ażebyśmy mniej kradli? Przecież ta zdolność nie należy do naszych cech narodowych, przyswoiliśmy ją sobie, niemal pożyczyli, spadła na nas, jak choroba, jak zaraza, jak trąd; czy nie można jej jakąś hygieną moralną usunąć, wytępić? Okrutny losie, tego, że nas zniprawiasz, tego bym ci nigdy nie darował, gdyby przekleństwo, rzucone na ciebie, grotem uderzało w swój cel, a nie odbijało się jedynie szybko konającem echem.

Ale nie rozpaczajmy. Choćbyśmy spadli bardzo nisko, jeszcze niżej od nas, w niezmierzonej głębi spodlenia pełzać będą te gady, które nas dziś kąsają. Z obszernego ich legowiska najzajadlej od pewnego czasu swe żądło wysuwa berlińska *National-Zeitung*. Jedna z gazet rosyjskich ogłosiła rozmowę jakiegoś profesora ze słynnym ekonomistą Wagnerem — o nas. Uczony niemiecki zaprzeczył całkowicie temu doniesieniu, dodał wszakże przytem kilka osobistych wyznań, które zapiekły podniebienie *National-Zeitung* ostrą goryczą. Nuż na... profesora rosyjskiego? *R. Kurjer*? dra Wagnera? Nie — na polaków. Ależ zirytowana ladacznico berlińska, cóż my temu winni, że ci panowie rozmawiali, czy też nie rozmawiali o nas i że dr. Wagner wypowiedział publicznie swoje myśli? Zlituj

się nie nad nami, ale nad sobą, nad rozsypanemi klepkami własnej głowy? Doprawdy, zabawny jestem z tą apostrofą! Ażeby nie być naiwnym, zauważę tylko, że żydzi niemieccy (zarówno pruscy jak austryaccy), zapominając zupełnie, jak się nazywa i jak smakuje podobna metoda, zastosowana do ich współwyznawców, urządzają nieprzerwanie w prasie *polen-hetze* z grzechotkami, gwizdawkami i pałkami liberalizmu. Rozumiałbym wszystkie te prześladowania, gdyby w Rosyi, Austryi, Niemczech — wszędzie nie tłuczono izraelitom okien i nie rabowano sklepów. Ale szczucie na spokojny naród wobec kongresów antisemickich i procesów tisza-eszlarskich, szczucie wychodzące z łona tych, którzy są przedmiotem obławy w całej Europie, to, doprawdy, zjawisko dziwne, charakterystyczne, może największe dziwadło naszych dziwnych czasów.

To też niektóre zachowawcze gazety polskie, które zawsze zrzucały z języków swych *żyda* ze wzgardliwą śliną, stawiają teraz niegodziwość berlińskich i wiedeńskich pismaków przed sądem opinii publicznej na dowód, że z tą rasą wszelki sojusz jest niemożliwym. Twierdziłem zawsze, że antisemityzm posiada u nas bardzo liczne i głęboko tkwiące źródło, do czego już dziś nawrócili się nawet ci optymiści, którzy mnie za tę opinię po wypadkach grudniowych w Warszawie ofukiwali. Otóż po ostatnich paroksyzmach niemiecko-żydowskiej prasy, przyznać muszę, że nasz antisemityzm zyskał w niej jedną z najsilniejszych pobudek. Stu panów Jeleńskich ze stoma *Rolami* nie pogłębiłoby tak przepaści, jak sama *National-Zeitung* lub *N. Fr. Presse.* Chociaż za winy tych wilczyc nie może być odpowiedzialny nasz świat izraelski, jednakże taka niemiecko-żydowska *polen-hetze* z konieczności dolewa oliwy do tlącego ognia w naszych stosunkach, dostarcza argumentów tem niebezpieczniejszych, że godzących w najtkliwsze strony. Zaiste, izraelici nasi mogą podziękować swym współwyznawcom berlińskim i wiedeńskim za taką przysługę, o ile zaś dbają nietylko o interesy kasty, ale i o dobro całego społeczeństwa — połączą się niezawodnie z nami we wstręcie, jakim ta sromota każdą uczciwą duszę przejmuje.

Ani jednej radosnej nowiny wyłowić dla was, czytelnicy, z tygodnia nie mogę, chyba tę może, że Teatr Rozmaitości nakrył swą klęskę dachem.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Walka większej własności z niefortunną czeladzią. — Majaczenia *Gazety Warszawskiej* i „dystylator“ z Tykocina. — Akteon w *Kraju.* — Prawo uganiające się za Wojtkiem i pielgrzymka tegoż Wojtka z Brzozowej Wólki do Koziej Łapki. — Moje stąd wnioski i uwagi.

Urodziła się w r. 1773 i zaraz nadano jej imię... *Gazety Warszawskiej.* Obecnie jest sobie kochaną babunią naszej prasy i, jak wszystkie zgrzybiałe staruszki, bawi się razem z wnuczętami piaskiem wielkiej polityki. Na zabawy tego rodzaju ludzie poważni przywykli już patrzeć z pobłażliwym uśmiechem, przechodząc nad niemi do porządku dziennego. Ale bierna rola „babci“ nie podobała się jednemu z jej dawnych wychowańców. Jest to, jak się zdaje, właściciel dystylarni z okolic Tykocina. Na pochwałę tego obywatela powiedzą kiedyś gazety nasze, iż „należał do rzędu tych, którzy jakkolwiek nic nie zrobili, jednak wnieśli opłatę za nekrolog, kochali żonę i dzieciom swym sprawiali nowe maszki.“ Otóż ten „zacności sąsiad i prawy katolik“ przysłał staruszce ze swojej gorzelni jakiegoś bardzo mocnego likieru z etykietką „ekstrakt domorosłej socyologii.“ Posiliwszy się należycie cennym specyałem, babunia zapragnęła stanąć na straży zagrożonych interesów naszej nieszczęśliwej większej własności. Chodzi, rozumie się o „niesforną“ czeladź dworską i parobków, ale posłuchajmy argumentacyi. „Na jednej połowie majątku siedzą parobcy, z drugiej zaś zaledwie korzysta obywatel, który, jak wiadomo, ponosi wszelkie ciężary wobec władzy i zmienności warunków urodzaju.“ Biedny posiadacz! Ma tylko tyle dochodu, ile wszyscy jego parobcy razem i musi jeszcze z tego opłacać podatki! „Tak więc ludzie, nie posiadający hypoteki (zbrodniarze!) korzystają z większej własności, nie ponosząc żadnych związanych z nią kosztów i trudów...“ Szanowny dystylator zapomina, iż jedyną dzisiaj armatą wytaczaną ku obronie obecnej formy władania są właśnie owe „podatki“ i wszelka postać ryzyka, jakiemu podlega „obywatel,“ korzystający *tylko* (?) z połowy majątku.

„Proletaryat ludowy“ —prawi sobie dalej staruszka — pod wpływem tykocińskiego likieru, nie istnieje u nas... Parobków dworskich, we wszystko zaopatrzonych, proletaryatem nazwać nie można, gdyż w takim razie trzebaby było nazwę tę zastosować i do całej klasy urzędniczej, która także własności nie ma.“ Kochana babciu! Proletaryat jest to zielsko, które dzisiaj na wszystkich wyrasta zagonach. Wszędzie pełno jest tego licha, nie wyłączając nawet poważnych wiekiem biur redakcyjnych, gdzie zdegradowani czwartoklasiści piszą traktaty społeczne.

Przyczyna złego leży w próżnowaniu i marnotrawstwie. „Do roboty najmują się tylko ci, co mają mało ziemi, gospodarz zaś zamożny woli jakiś dzień spędzić w domu nad lżejszą pracą, niż iść do dworu na zarobek—dla niego zyskowniejszy...“ Co do mnie, to robiłbym tak samo, jak ów zamożny gospodarz a nie myślę nawet, aby i autor tykocińskiej socyologii zechciał, porzuciwszy swe „lżejsze“ pióro, powrócić na ławę szkolną — chociaż to byłoby dlań o wiele zyskowniejszem.

Słuchajmy dalej.

„Pan bogaty marnotrawi pieniądze za granicą, a parobek dworski, złapawszy grosz jaki, wydaje go na cygara i papierosy...“

Taki brak oszczędności oburza mnie, jakkolwiek przypuszczam, że „bogaty pan“ jedzie do Paryża już po opłaceniu tych nieznośnych ciężarów i po oddaniu „połowy“ na pastwę chciwych parobczaków. Za karę kazałbym panu... wypalić wszystkie kupione przez rozrzutnego Walka papierosy, a parobka posłałbym za granicę, aby się od niemców nauczył oszczędzać i pracować.

Nie zazdroszcząc fornalom ich karyery i nie litując się do zbytku nad tymi, którzy „potrzebują“ przejechać się za granicę, musimy jednak uznać fakt, iż gospodarstwo parobczane staje się u nas coraz bardziej uciążliwem i że z najemnikiem ziemianie coraz to większe mają kłopoty. W każdym niemal numerze pism codziennych jęczy żałośnie jakiś Akteon, zapewniając, iż wkrótce przez własne psy pożartym zostanie. Jedno takie wołanie o pomoc wyszło niedawno z pod pióra mińskiego korespondenta *Kraju.* Ten ostatni upatruje źródło klęski w powolnym wymiarze sprawiedliwości. „Parobek, znęcony podniesioną płacą w okolicy, ucieka od gospodarza. Czas gorący, gospodarz w strasznych opałach, jednak decyduje się skarżyć samowolnego zbiega... Mijają tygodnie i miesiące, aż sprawa przyjdzie przed sąd i gospodarz uzyska rezolucyę pomyślną. *Dopiero* zaczyna się akt drugi procesu — najtrudniejszy...“ Aktem tym jest egzekucya wyroku i kosztów sądowych, zwykle z góry przez gospodarza poniesionych a następnie, drogą licytacyi, w malutkiej tylko części przez parobka zwróconych. „Wobec takiego stanu rzeczy — powiada dalej korespondent — wnioskować wypada, że dopóki proces egzekwowania wyroków nie zostanie zmodyfikowanym, dopóty najlepsze prawo martwą pozostanie literą w praktyce, a jakie stąd złe wynika, jasnem jest dla każdego, kto pragnie rzeczywistego, normalnego rozwoju ludności i bogactwa krajowego.“

Taką rzeczywiście jest jedna strona medalu. Przypatrzmy się drugiej.

Wyobraźmy sobie, że jak prawo tak też i sposób jego wykonania są idealne. Zaledwie jakiś Wojtek, znęcony obietnicą nowych butów, zdążył uciec z Brzozowej Wólki do Koziej Łapki, aliści zjawia się „prawo“ w postaci komornika, bierze delinkwenta za kołnierz, „odstawia“ do rodzinnego gniazda, a na pokrycie kosztów sądowych licytuje mu całą chudobę, nie wyłączając owych butów... Rzecz prosta, że Wojtek zaniecha pielgrzymek do Koziej Łapki i chuchając w swoje własne łapy, zacznie „po bożemu,“ „po katolicku“ pracować w Wólce, której właściciel będzie tryumfował. *Gazeta Warszawska* zacznie się wtedy oddawać spokojnie polityce, jej sprawozdawca „społeczny“ pozyska prawo siadywania w redakcyi na kanapie, a żydki z Tykocina pójdą z powinszowaniem do znanego „dystylatora,“ nie omieszkając zrobić na nim jakiegoś dobrego interesu. Czy o to chodzi tym, co pragną „rzeczywistego normalnego rozwoju ludności i bogactwa krajowego?“ Rzucanie belek pod nogi owym „pragnącym“ nie jest bynajmniej zabawnem ale i pozbawianie wyrobników możności łatwej zamiany jednej służby na inną, korzystniejszą, nie powinno nam się uśmiechać. Zresztą, czy myślisz czytelniku, że radość w Tykocinie mogłaby być długotrwałą? Bynajmniej. Na sposoby prawne znalezionoby wkrótce antydotum. Niedostatek kar nie bywał nigdy *zasadniczą* przyczyną wadliwości w procesach żywotnych społeczeństwa. Cóż więc na to poradzić? Dla mnie z tego wszystkiego jedno jest tylko jasnem. Dzisiejszą parobczaną formę gospodarstw rolnych uważam za absurd ekonomiczny, którego rogate przesłanki coraz sromotniej wyglądają z pod fałszywego pokostu niby logicznych wniosków, jakimi je przykryto. Istnienie instytucyi, opartej na podstawach z interesem większości sprzecznych, musi być zawsze chwiejnem.

Maryan Bohusz.

TEATR.

Nowa firma Sardou. — *Zaraza* Augiera.

Śród posuchy na nowości sceniczne, reżyserya nasza wyprowadza obecnie utwory, które we francuskim repertuarze wyszły już z obiegu. Do takich należą grane ostatnimi czasy komedye Sardou *Nowa firma* i Augiera *Zaraza.*

Pierwsza jest dość pospolitą sztuką mieszczańską i nawołuje do poprawy kupców, którzy gonią za blichtrem i starają się fałszywym zbytkiem sprostać arystokracyi. Jestto pięcioaktowy morał na temat oszczędności, skromności, cnót domowych, pomieszany cokolwiek z melodramatem—zresztą urobiony podług zwykłej recepty Sardou, który w innych sztukach rozwinął daleko większy spryt sceniczny. Pomimo średniej wartości, sztukę tę podniosło dobre wykonanie, a zwłaszcza gra panny Marcello, tętniąca ogniem szczerego zapału.

Odmiennego losu doznała daleko piękniejsza komedyjka Augiera *Zaraza*, nieobfitująca wprawdzie w łamanie techniki scenicznej, ale pomyślana oryginalnie i oparta na doskonałej charakterystyce kilku postaci. Słuchając jej, mogliśmy się przekonać naocznie, jak niesłusznemi były zdania krytyków, którzy w swoim czasie (przed 14 laty) oskarżali autora o zbytni pesymizm i patetyczną deklamacyę. Wiemy dobrze, gdzie wprowadziła Francyę ta obyczajowa zgnilizna, której początki maluje Augier, w sposób pełen głębokiej psychicznej prawdy, kreśląc świetne typy karyerowiczów panoszących się przez podłość i rozpustę. Tam, gdzie szachraje mogli być bohaterami dnia, gdzie kokotkom zaczęły zazdrościć uczciwe kobiety, gdzie użycie było jedynym celem wszystkich zabiegów ludzkich, gdzie najszlachetniejsze uczucia obrzucano błotem sarkazmu, niemogła się urodzić pomyślna przyszłość kraju. Gangrenujący Francyę bonapartyzm sprzyjał szerzeniu się tej zgnilizny, której smutne następstwa przewidział autor proroczo. Jedna z postaci jego komedyi rzuca w twarz szachrajom i karyerowiczom te ponure słowa: „Frymarczcie wszystkiem, co święte, ale pomnijcie, że nastanie dzień, w którym wyśmiane prawdy stwierdzą się w błyskach piorunów!“ Zarzucono Augierowi, że jego bohater miota bezpłodnie te gromowe słowa, a dzisiaj jakoś one brzmią inaczej! Wyśmiano się z patryotyzmu i z jego wielkich haseł a śmiech ten skończył się na... huku dział pruskich pod Paryżem.

Obok etycznej wartości komedya posiada pierwszorzędne zalety prawdy, opartej na obserwacyi, prowadzoną jest w prawdziwie wysokim komicznym stylu, potrącającym chwilami o głęboką dramatyczność. W pobieżnej notatce trudno wykazać jej wszystkie zalety, w każdym razie zaznaczyć warto, że należy ona do tych utworów, które nie gonią za doraźnym hałaśliwym efektem, ale poczęte są głębiej, natchnione dodatnią myślą etycznego odrodzenia. Przymioty jej literackie okupują pewien brak scenicznego efektu w początkowych aktach, tak, że pomimo dość słabego wykonania, dla poważniejszych widzów słuchanie tego utworu może stanowić istotną duchową biesiadę.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 sierpnia.

Nowe rozruchy w Austryi.—Klapa bezpieczeństwa. — Podróże monarchów i nowe przymierza. — Wojna w Tonkinie.

Austrya stała się w ostatnich czasach widownią najrozmaitszego rodzaju ruchów ludowych. Zaledwie ucichły zaburzenia w Peszcie i Wiedniu, aż oto w Zagrzebiu wybuchły znowu bunty, noszące już nie antysemicki lub socyalny a narodowo-polityczny charakter. Tłumy zebrały się przed gmachami rządowymi i zrywać zaczęły napisy w języku węgierskim. Rozumie się, policya i wojsko wdały się w tę sprawę, zakończoną starciem. Władze jednak pozbawione były możności energicznego działania, bo wielu milicyantów chorwatów, nie chcąc walczyć ze swymi rodakami, porzuciło służbę, zebrani zaś na naradę członkowie sejmu oświadczyli, że postępowanie ludu jest legalne, a umieszczanie napisów w języku węgierskim stanowi bezprawie. Podobnego rodzaju rozruchy wybuchnęły w Sisseku i Karlobradzie. Obecnie pozornie umysły uspokoiły się, chociaż wrzenie trwa ciągle i zrywanie szyldów pojawia się od czasu do czasu. O wszystkich tych ruchach nie mamy dotąd dokładnych wiadomości, każdy z nich sam przez się nie jest groźnym, ale wzięte zbiorowo — a dodać jeszcze należy do nich uliczne burdy we Lwowie, Pradze i małych miastach węgierskich i rzucenie drugiej bomby oraz pobicie dziennikarza niemieckiego w Tryeście — są symptomatem niebezpiecznym, wskazującym, że sklecona sztucznie austryacka budowa, pomimo ciągłych poprawek — warunków trwałego istnienia nie posiada.

Nietylko zresztą Austrya przedstawia taki chaos w stosunkach wewnętrznych; jest on, chociaż w mniejszym stopniu, udziałem i innych państw. Psuje się coś wciąż i w Hiszpanii i w Anglii i nawet w niemieckiem cesarstwie „bojaźni bożej i dobrych obyczajów.“ Lekarstwa w postaci reform połowicznych i niezdecydowanych nie skutkują wcale, przychodzi więc politykom do głowy, czy nie należy otworzyć „klapy bezpieczeństwa,“ pod którą rozumieją — wielką wojnę — środek, którego skuteczność wypróbował niegdyś Napoleon III.

Ks. czarnogórski, pierwszy z władzców tego kraiku odwiedził sułtana. Celem jego podróży ma być wytargowanie na rzecz zięcia gubernatorstwa Wschodniej Rumelii, albo odstąpienie Czarnogórzu południowej Hercogowiny, której sułtan jest panem *de jure*, chociaż faktycznie znajduje się ona w posiadaniu Austryi. Rozumie się, że ta ostatnia alternatywa wywołałaby natychmiast wojnę, trudno bowiem przypuścić, żeby Austrya dobrowolnie oddała smaczny kąsek, z tak wielkim wysiłkiem zdobyty. Królowie, rumuński i serbski uczestniczyć mają na wielkich manewrach w Niemczech, tymczasem zaś bawią w Wiedniu. W przewidywaniu powszechnych zawikłań wielcy kokietują małych, których pomoc przydać się może. Bodajby tylko nie skrupiło się na nich.

Do środkowo-europejskiego przymierza zamyśla przystąpić i król hiszpański. Bardzo prawdopodobnem wydaje się przypuszczenie, że właśnie rewolucya w Hiszpanii była dywersyą, w celu odciągnięcia go od tego kroku. Znaleziono jakoby dowody, że republikanie francuscy popierali ruch wszelkimi środkami, nie żałując nawet znacznych kapitałów. Jak wiadomo, powstanie nie miało powodzenia, król Alfons zaś skorzystał z niego tyle, że na czas nieograniczony pozbawił swych poddanych rękojmi konstytucyjnych; a pomimo ostrzeżeń wybiera się w podróż do Niemiec.

Słowem, zanim nadejdzie chwila ostatecznej rozprawy (jeżeli tylko nadejdzie), reżyserowie przygotowującego się dramatu czynią przygotowania zarówno dyplomatyczne jak i militarne. Prusy zgromadzają wojska na wschodniej granicy, mówią nawet o formowaniu eskadry na Bałtyku. Naturalnie, że i przeciwna strona nie spi. Zmiana frontu, jakiej dokonała dyplomacya rosyjska w Konstantynopolu, odzyskująca dawny swój wpływ na Portę i podróż księcia czarnogórskiego — świadczą o tem. Francya tylko, której stanowcza rola przypaść musi, milczy dotąd, dlatego może, że stanowisko jej z góry już jest określonem, a do wojny w każdej chwili jest gotową. Tymczasem zaś działania wojenne w Tonkinie posuwają się energicznie; flota bombarduje miasta nadbrzeżne, a po wkrótce nastąpić mającem zajęciu stolicy, rozstrzygniętą będzie kwestya, który z dwóch pretendentów zasiądzie na tronie anamskim. Szczęśliwy konkurent musi jednak wykonać jeden przykry warunek, mianowicie uznać protektorat Francyi nad Anamem.

CUDZE GŁOSY.

Psia służba. Takby można nazwać zajęcie współpracowników podobnych pism, jak *Czas*. Czego bo on nieraz nie musi wypisywać! Gdy każą ganić, to obowiązany wymyślać nieraz od ostatnich urwisów, gdy zaś kadzić, to atmosfera staje się duszniejszą, niż na targowisku podczas jarmarku. W ostatnich czasach nadszedł rozkaz chwalenia b. namiestnika, „albowiem hrabią jest i stał się nieszkodliwym,“ Zakadzono też, no! aż zawrotu dostała nawet *Gazeta krakowska*.

„W lamencie swym — powiada ona — za b. namiestnikiem, wyliczając jego zalety, wsiada *Czas* na niefortunnego heraldycznego konia i dalejże dowodzić nam, jak na dłoni, że hrabiego Alfreda nowy namiestnik zastąpić nie potrafi, bo tamten: 4) miał imię historyczne, tradycyę, jak mało, hetmańską, senatorską krew w żyłach a szpik i kości pana z panów (dosłowne cytaty z *Czasu*); 2) bo miał ogromną fortunę, która jego niezależność wzmacnia; 3) bo podobny jemu tylko mąż stanu mógł być i był łącznikiem między monarchą i narodem.“

Gazeta krakowska zastanawia się nad wszystkimi tymi punktami i powiada, iż między szpikiem magnackim a szlacheckim ta jedyna może być różnica, że pierwszy prędzej wysycha a osłaniająca go kość pacierzowa rychlej pruchnieje. Daje zaś potem taką nauczkę *Czasowi*:

„Dalecy jesteśmy od obwiniania prawnuków za winy praojców. Ale w ich własnym interesie radzilibyśmy nie wyjeżdżać co chwilę na targ z temi tak często niebezpiecznemi dla ich właścicieli torpedami, gdy niemi głowy przechodzących chcą rozbijać, Czytaliśmy np. przed kilku dniami mały świstek, który tak się kończy: „Wszystkie przymioty Boga posiadasz już, o Pani! Na nieszczęście ludzkie, brakuje Ci tylko nieśmiertelności...“ Świstek ten jeden przeważyćby mógł podobno zasługi dziesięciu hetmanów, gdyby go się na szalę zaszczytów i hańby rodziny jakiejkolwiek kłaść chciało i godziło.“

Trzeba przyznać, że podjazd *Gazety krakowskiej* na *Czas* udał się tym razem znakomicie.

Kwiatek panegiryczny. Biedny *Czasie*! I na cóż zdał się traktat twój o przymiotach magnackiego szpiku? W kąt poszedł twój trybularz — dyabli wzięli całą zakrystyę. A dzieła tego zniszczenia nie dokonała ani *Nowa Reforma*, ani nawet *Gazeta krakowska*. Roli Herostrata podjął się... *Tygodnik rzeszowski*. Czy wiesz, czytelniku, że pisemko takie istnieje? Być może, ale nie wiesz, jak pisze. Posłuchaj:

„Adam Potocki, Jerzy Lubomirski i Alfred Potocki, oto triumvirat, który zajmował przewodnie miejsce w życiu naszego narodu.

Alfred Potocki, który żył i żyje w państwie i dla państwa, najwięcej z tych trzech umysłów — umysł spekulacyjny, szanujący w Polsce i Słowiańszczyźnie to, co godne szacunku, kochający to, co warte kochania.

Dlatego Alfred Potocki w tym triumwiracie—premierem.

Dlatego Alfred Potocki tak pocześne zajął stanowisko w Galicyi—w Polsce.

Dlatego Alfred Potocki pozyskuje określenie w Najwyższych, bo Monarszych Słowach: „*Ce le premier Genti' l' homme* (!) de l' Empire (Darujcie mu francuzi, bo nie wie, co gada).

O człowieku tej miary pisać ocenę i to za życia, i to w momencie Jego najwyższego blasku, bo w chwili, w której Monarcha odręcznie na własną Tegoż prośbę, uwalniając ze stanowiska zastępcy Swego w Ziemi Polskiej, wdzięcznemi wyrazy śle mu podzięke nadaje najwyższą polityczną dekoracyę w państwie, jest niełatwem, lecz trudnem—zadaniem.“

Autor artykułu podejmuje się jednak tego zadania.

„Z uwagi, że w Polsce umieliśmy i umiemy oddawać Bogu, co Boskie, Królowi, co Królewskie, Narodowi, co Narodowe.

Z uwagi dalej, że umieliśmy i umiemy uszanować, uczcić, ukochać, co Szlacheckie, co Senatorskie, co Hetmańskie, jako zawsze dbali o dobre imię Polski—Polaka, powiemy ogólnie, że zaprawdę dumnym nie po pogańsku, lecz po chrześciańsku — być może ten naród, w którym ziemia wydaje takich synów, jak Alfred Potocki.

Alfred Potocki powiększa o jedno ogniwo łańcuch dziejowy wielkich mężów, czysty, jak kryształ.

Alfredowi Potockiemu odjąć wielkie historyczne Imię, magnacki majątek, najwyższe godności — pozostanie w najobszerniejszem słowa znaczeniu „Człowiek."

Co i właśnie odznaczało i odznacza—stanowiło i stanowi—„Alfreda Potockiego."

Kwiatek, uszczknięty na bujnej niwie *Tygodnika rzeszowskiego*, powtórzyliśmy z wierną ścisłością, nie naprawiając błędów jego, nawet ortograficznych. Biedny *Czas*, zarumienił się zapewne — pokonany...

Źródła nienawiści i zaciekłości niemców przeciwko naszemu narodowi dopatruje się lwowska *Zgoda*, organ panującej wszechwładnie przed paru laty w grodzie nadpełtwiańskim partyi, czy jak inni chcą, kliki „Łączności i zgody" — w zżydowszczeniu prasy niemieckiej. Zwrot ten datuje się od r. 1848, t. j. od czasu, w którym dzienniki niemieckie poczęły przechodzić na własność żydów.

„Żydzi—powiada Zgoda — opanowawszy w Niemczech giełdę i prasę, stają się tam panami sytuacyi i twórcami opinii publicznej. Od tego czasu rozpoczyna się walka przeciwko narodowości polskiej i wogóle przeciwko wszystkim słowianom, także i rumunom, walka, jakiej od wynalezienia druku świat nie był jeszcze świadkiem. Nieustanne podszczuwanie silniejszych na słabszych, potwarz wszelkiego rodzaju, urąganie, ośmieszanie, podejrzywanie, ogólnie cały ohydny arsenał wypróżnia prasa niemiecko-żydowska, aby tylko nam szkodzić. Udało się tym fabrykantom opinii publicznej w Niemczech zbałamucić kompletnie tę opinię względem nas i wywołać przeciwko nam niechęć i podejrzenie wmawianiem w liberałów niemieckich, że polacy, to naród, składający się wyłącznie ze szlachty jezuickiej i reakcyjnej oraz ze zbydlęconego chłopa; w konserwatystów zaś, że jesteśmy bandą rewolucyonistów, próżniaków i darmozjadów, którzy tylko z pracy żydów żyją. Nie tak dawno temu, jak najzuchwalszy i najbezecniejszy organ żydowski w Wiedniu wołał na żydów w Galicyi, czyniąc im gorzkie wyrzuty, dlaczego dysponując odpowiednimi kapitałami, nie wywłaszczyli dotychczas większych posiadaczy ziemskich, których z upodobaniem nazywa dziką szlachtą (wilde Schlachzizen)."

Bez wątpienia, wiele jest racyi w tem, co mówi *Zgoda*, naiwnem jest tylko zakończenie artykułu, nawołujące do popierania antysemityzmu w Niemczech, „bo *tylko* przez wyrugowanie żydowstwa z prasy niemieckiej zdołamy odzyskać znowu tę sympatyę, jaką do nas żywili niemcy dawniej." Pogląd co najmniej optymistyczny. Przyczyna tego leży chyba... w krótkim wzroku.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy uniwersyteckie. Wychowańcy gimnazyów. w t. z. kraju zachodnim położonych, mogą być przyjmowani do uniwersytetu warszawskiego jedynie za pozwoleniem miejscowych gubernatorów. Obecnie ilość pozwoleń została ściśle określoną, a zastosowanie przepisu rozciągnięto i na tych kandydatów, którzy ukończyli szkoły w Królestwie, jeżeli tylko pochodzą z prowincyj zachodnich.

— We wszystkich uniwersytetach rosyjskich wprowadzonem będzie obowiązkowe noszenie mundurów. W warszawskim od 1 września r. b., w innych od 1 stycznia 1884.

Szkoły niższe rolnicze. Ustawa dla szkół rolniczych otrzymało już zatwierdzenie. Będą do niej przyjmowani chłopcy włościańscy od 14 do 19 lat wieku. Kurs nauk trzyletni a uczniowie bezpłatnie otrzymać mają ubranie i całkowite utrzymanie.

Zniżenie opłaty szkolnej. Wskutek przedstawień zarządów ziemskich, ministeryum oświaty wypracowuje projekt zniżenia opłat od uczniów. Niewiadomo jednak, czy zmniejszenie owo nastąpi dla Królestwa.

Zjazd literatów. Nadesłano nam ogólny zarys programu pierwszego zjazdu litaratów i artystów polskich w Krakowie w dniach 14 i 15 września b. r.

D. 13 września o godz. 9 wieczorem poznanie się członków zjazdu w lokalu „koła artystyczno-literackiego."

D. 14 września o godz. 15 rano pierwsze posiedzenie zjazdu w sali rady miejskiej. O godz. 3 drugie posiedzenie. O godz. 7½ przedstawienie teatralne w połączeniu z koncertem.

D. 15 wrzesnia o godz. 10 trzecie i ostatnie posiedzenie zjazdu. O godz. 4 uczta w sali towarzystwa strzeleckiego. O godzinie 9 bal w sali hotelu Saskiego.

D. 16 września o godz. 1 wycieczka przez Bielany do Tyńca. Powrót Wisłą do Tyńca.

Cena biletu udziałowego „zjazdu" 4 złr. Bilet ten daje prawo bezpłatnego udziału w wycieczce. Cena miejsc w teatrze dla członków zjazdu zwyczajna, dla niecziłonków podwyższona. Zwyżka obróci się na dochód towarzystwa pomocy dla wdów i sierót po literatach i artystach. Cena biletu na ucztę dla członków zjazdu 5 złr. 50 ct., dla niecziłonków 10 złr. Cena biletu familijnego na bal dla członków 5, dla niecziłonków 10 złr., biletu pojedynczego dla członków 2, dla niecziłonków 4 złr. Dochód z balu na fundusz wdów i sierót po literatach i artystach.

Zgłoszenia do udziału w zjeździe przyjmuje komitet gospodarczy do dnia 6 września. Z komitetu gospodarczego I-go zjazdu literatów i artystów polskich. — Prezes *Juliusz Kossak*—Sekretarz *K Bartoszewicz*.

Prasa rosyjska. Od 23 sierpnia wychodzić zaczyna *Gołos*—ale pod cenzurą.

P. Czyczeryn, prezydent (gołowa) Moskwy, o którego dymisyi szeroko pisały w czasie koronacyi dzienniki zagraniczne, obecnie rzeczywiście ustępuje z urzędu.

Zamach na biskupa. *Kraj* czerpie z gazet rosyjskich wiadomość, że biskupowi Hryniewickiemu jeden z księży zamierzył odebrać życie. W pierwszej mowie, po przyjeździe do Wilna, biskup oświadczył, że surowo karać będzie występki przeciw moralności. Słowa te stosować się miały głównie do dwóch księży, znanych z rozpusty. Jeden z nich postanowił wtedy zabić biskupa a potem otruć się. Ale kolega jego wydał tajemnicę, biskup zawiadomił policyę i zbrodniarza aresztowano w sali audyencyonalnej. Znaleziono przy nim rewolwer i truciznę.

Zmarli: Antoni Stanisławski, b. profesor uniwersytetu charkowskiego, tłomacz Danta — w Białej Cerkwi.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. E. D. Mosbach *Początki unii*, zresztą w obszerniejszych pracach, dotyczących historyi polskiej lub panowania Zygmunta Augusta.

P. Sosnowskiemu w Płocku. Nie zgadzamy się z Panem, ażeby: 1) była to „najważniejsza broń;" i 2) ażeby krytyka czegokolwiek mogła ogół narażać w walce. Co zaś do samego przedmiotu możemy Panu tylko powtórzyć wielokrotnie wypowiedzianą przez nas zasadę, że kto gani młynarza za nieuczciwość, ten jeszcze nie dowodzi, że woda w jego rzece jest brudną; kto karci lichego rymopisa, nie ubliża poezyi. Ile razy religia wkracza w granice nauki i z nią się ściera, tyle razy przyjmujemy stronę ostatniej, ale to nam nie przeszkadza wyznawać, że źródło uczuć religijnych (szczerych) jest czystem.

P. M. Z. w Warklanach. Zdanie nasze wkrótce wypowiemy w osobnej rozprawce, Supińskiemu poświęconej.

P. A. N. w Kursku. Dotąd takiej książki nie ma. Mamy przyrzeczoną od jednego z najznakomitszych polskich lingwistów pracę, która może życzeniom Pańskim dogodzi.

P. J. K. P. Nie można.

OFIARY.

Dla biednych uczniów. A Barbanell rs. 1.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Августа 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.